MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 23 WARSZAWA, 6 CZERWCA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

KRZYŻ I MIECZ

POSTAWMY odrazu założenia, wynikające z rzeczywistości. 1) Polski ruch narodowy, tak w oficjalnych enuncjacjach swego głównego obozu politycznego i w publikacjach swych naczelnych teoretyków, jak i w działalności praktycznej, naogół stwierdza, że stoi na gruncie katolickim. 2) Działacze katoliccy, tak duchowni, jak i świeccy, oświadczają i działalnością swą praktyczną naogół stwierdzają, że są patriotami typu narodowego. 3) Można dziś w Polsce dostrzec grupę i wyróżnić typ działaczów katolickich, mających szczególne uprzedzenie do ruchu narodowego, co się wyraża w ich taktyce politycznej i w ciągłych próbach podważania zasad nacjonalizmu ze stanowiska doktryny katolickiej.

Usuńmy z góry fałszywe domniemanie, jakoby w duszy Polaka możliwa była kolizja między dążeniem do doskonałości duchowej, a dążeniem do wielkości Polski. Hierarchia moralna dążeń ludzkich, obowiązuje każdego — do pewnego poziomu pod grozą grzechu ciężkiego, wyżej — powszedniego, a jeszcze wyżej są stanowiska świętych. Jest to kanwa, którą mamy wypełniać wątkami swych dni. Jest to forma, wedle której człek świadomie kształtuje treść swej duszy. Jest to sposób życia, możliwy do przyjęcia w praktyce w każdym punkcie kuli ziemskiej, zawsze, — i przy wykonywaniu każdego dozwolonego zajęcia.

Kościół zajmuje się w swej działalności różnemi dziedzinami życia, ale zawsze pod kątem wieczności. Zawsze do zmiennego nurtu historii, do przemijających, wielorakich spraw świeckiego żywiołu ludzkości — przykłada miarę nieomylnego systemu swoich prawd. Co Kościół interesuje w wychowaniu i oświacie? — Religia i moralność. Czego broni w życiu rodzinnem i państwowem, politycznem i gospodarczem, w nauce i sztuce? — Religii i moralności. Boskich swoich zasad. Wiecznych prawideł, które warunkują zbawienie dusz.

Nadużywamy obecnie w Europie przymiotnika „katolicki". Katolicyzm to nie jest sztuka Maritain'a, lub krytyka Calvet'a. Katolicyzm to nie korporacjonizm. Katolicyzm i katolicki — to są słowa zbyt dostojne, aby używać ich w sensie niepełnym, lub zastępczym. A w sensie prostym i pełnym można mówić tylko o katolickim Kościele, o katolickiej religii i moralności, — i o rzeczach, które bezpośrednio wchodzą w skład tych pojęć. We wszystkich innych przypadkach jest to nadużywanie wyrazu, którego treść wypełniła historia wielkiej Instytucji.

Moralitet średniowieczny był katolicki, bo było to udramatyzowane kaznodziejstwo. Ale dajmy na to — nowele i obrazki Zofii Kossak-Szczuckiej p. t, „Szaleńcy Boży" — nie zasługują na filozoficzny epitet „katolickie", chociaż pod względem treści moralnej są bez zarzutu, bo jest to dzieło sztuki, owoc zachwytów raczej ludzkich, niż natchnień Ducha Świętego.

Są pewne projekty społeczne i poglądy gospodarcze, które ich zwolennicy określają, jako katolickie. Znów nieporozumienie. Przecież są to poprostu poglądy ustrojowe, propagowane w pewnych sferach katolików pewnych państw w Europie w tych a w tych latach. Ale żaden tego rodzaju ustrój nie wynika i nie może wynikać z nieomylnej doktryny Kościoła. Nieomylne i obowiązujące pod rygorem grzechu są tylko religijne i moralne nauki Kościoła. To też taki np. kolektywizm, jako ustój gospodarczy, nie jest i nie bę-

dzie oficjalnie przez Stolicę Apostolską potępiony. Bo sprawy gospodarcze to nie jest przedmiot, powierzony Kościołowi do nauczania. Bo wreszcie — posiadanie prywatnej własności nie jest koniecznym warunkiem zbawienia duszy. Katolik może być zwolennikiem *laisser-fair'yzmu,* jakiegoś interwencjonizmu, czy gospodarki planowo-kolektywnej, może być anarchistą, republikaninem, zwolennikiem lub przeciwnikiem głosowania kobiet do parlamentn, inflacjonistą, czy deflacjonistą — i wcale mu za to grzech nie grozi. Te sprawy Kościół zawsze pozostawiał do swobodnego uznania wyznawców, sympatyzując, jak wiemy z historii, z jednymi poglądami, nie sympatyzując z innymi, ale nie rzucając nigdy na szalę tych zmagań dziejowych, które nie wkraczały bezpośrednio w zakres religii i moralności — autorytetu swych nieomylnych orzeczeń.

Nie mieszajcie więc rzeczy świętych z rzeczami... doczesnemi. Komunizm zagraża całemu światu pojęć i stosunków cywilizacji łacińskiej, panującej przeważnie w narodzie polskim. Nie spierajmy się o to, komu komunizm więcej zagraża. Nie dyskutujmy na temat, czego w nas jest więcej: Boskości, czy polskości, katolicyzmu, czy nacjonalizmu. Gdy tak stawiamy sprawę, wyglądamy, jak muzy, śpiewające, a raczej kłócące się wśród szczęku oręża. Wiemy, że gdy w Polsce zwycięży front ludowy — to nastąpi komunizm, który zniszczy tak Kościół, jak i ruch narodowy, Fronty ludowe — ostatnia kreacja Kominternu, są niewątpliwie tworzone do walki politycznej o władzę w państwach „burżuazyjnych".

Walkę polityczną najlepiej mogą przeprowadzić te żywioły, które reprezentują polityczną stronę cywilizacji łacińskiej. U nas jest to ruch narodowy. Gdyby ten ruch chciał stworzyć swój kościół, to, pomijając już zasadnicze względy — byłby to jego błąd taktyczny, bo schizma rozbiłaby jednolity w Polsce obóz religijny przeciwników bolszewizmu. Tak samo — gdy słychać głosy, że należy w Polsce stworzyć „katolickie" stronnictwo polityczne, czy „katolicki" ruch społeczno-gospodarczy, trzeba stwierdzić, pomijając również zasadnicze zarzuty, że byłby to błąd taktyki: rozbijanie jednolitego obozu politycznego ideowych przeciwników bolszewizmu.

Przeszkadzać Kościołowi, albo opóźniać postępy ruchu narodowego jest to przyspieszać zwycięstwo komunizmu.

Co będzie gdy w Polscc obie fale: front żydowsko-bolszewicki i katolicki ruch narodowy — wzbiorą i zderzą się, czego chyba nie da się uniknąć, kto pozostanie na placu i jakie zapanują prądy w brzemiennej chwili gwałtownych przekształceń — zależy w poważnym stopniu od zachowania się katolików. Jeżeli mamy nowe średniowiecze, to bodaj pod tym względem, że trzeba działać otwarcie i bezkompromisowo. Niechaj Duch Św. oświeci nas, byśmy nie brali tchórzliwego oportunizmu za odwieczną, mądrą taktykę ostrożności. Nie można liczyć na dobrą wolę jednostek, jeśli służą organizacji działającej *en bloc* systematycznie na szkodę Katolicyzmu. Nie możemy cieszyć się z dorywczych sukcesów paktowania z obozem, który zawsze ma setki innych sposobów walki z religią i Kościołem. Są u nas katolicy, „stawiający" na pokrywę, przykrywajacą wrzący kocioł. Czyżby nie zauważyli, że ta pokrywa leży ukośnie — ? Przyciska prawą stronę kotła, a po lewej pozwala podnosić łby wzbierającym bałwanom.

Konkludujemy: myśliciele duchowni, wśród których nie brakowało najwyższych książąt Kościoła, tak w dziełach naukowych, jak w uchwałach synodów, listach pasterskich i artykułach publicystycznych, na podstawie najważniejszych źródeł nauki katolickiej — wykazali, że miłość ojczyzny jest nietylko dozwolona, ale jest obowiązkiem katolika, skoro sam Bóg stworzył narody, związał ich jednostki i pokolenia węzłami rodzinnymi i rodowymi, które uświęcił w sakramencie małżeństwa, skoro połączył je wspólnym językiem, państwem i kulturą.

W obecnej epoce w Europie państwo narodowe stanowi zespół ziemskich warunków, najkorzystniejszy dla wyrobienia moralnego najszerszych rzesz wyznawców. Ta prawda jest dziś w Polsce szczególnie aktualna i oczywista.

Przykłady najnowszej historii uczą, że taktyka konserwatyzmu, umiarkowania, pośredniczenia, odwlekania, niesprzeciwiania się złu — utrzymuje w bierności i bezwładzie zdrowe moralnie warstwy i grupy społeczne, hoduje oportunistów i sybarytów, typy tak sprzeczne z etyką katolicką, wskutek czego pośrednio mimowoli sprzyja fołksfrontowi, którego nikt od wewnątrz nie hamuje w zdecydowanym stawianiu żądań, w agresywności, w rozwoju sił i organizacji bojowej.

Dlaczego my, katolicy, nie mamy wyrabiać cnót żołnierskich w swych szeregach? Dlaczego nie mamy żądać od ludzi porządnych — jasnego opowiedzenia się: za, albo przeciw — i konsekwencji? Dlaczego nie mamy w walce wypróbować dobrej woli i wartości sojuszników, poznać sił wrogów, osłabić ich, a wzmóc własnych?

Siedźmy cicho w domach, żyjmy z dnia na dzień — od kompromisu do kompromisu, nie zastanawiajmy się, zachwyceni „zgodą narodową", jakie są w państwie jawne i ukryte siły i jakie piętno wyciskają na faktach polityki państwowej i na ewolucji społecznej. Śpijmy spokojnie — „obywatelscy", prorządowi, bezpartyjni, apolityczni, letni i bezbarwni. Jutro obudzimy się... pod ścianą, a potem na mapie Europy wystąpią nowe czerwone plamy.

VIR CATHOLICUS

PRZYJACIEL CHROBREGO

(W 940 ROCZNICĘ ZGONU ŚW. WOJCIECHA)

(Dokończenie)

TEMU ZŁU, którego winowajcami byli najmożniejsi tego świata, nie umiał już święty biskup ostatecznie zaradzić. Wszystkie dochody biskupstwa oddał na wspomaganie chorych, ubogich i pokrzywdzonych, wiodąc tryb życia uboższy i skromniejszy od najlichszego z nędzarzy: jadał tylko raz dziennie, i to nie do syta, a sypiał na gołej ziemi, podłożywszy pod głowę kamień, bo nawet poduszkę oddał na przyodziewek żebrakowi. Codzień odwiedzał szpitale, wywiadywał się o każdym potrzebującym pomocy, każdego wspierał i ratował. Wykupywanie niewolników pochłonęło ostatek jego mienia: nie miał skąd wziąć środków, a odwoływanie się do chrześcijańskich uczuć panów nie pomagało. W tej bezradności powziął ostateczne postanowienie, by udać się do Rzymu i przedstawiwszy papieżowi cały stan rzeczy, uzyskać odeń pozwolenie na zrzeczenie się godności biskupiej. Pozwolenie takie uzyskawszy, zamierzał udać się jako pątnik do Jerozolimy, by na Grobie Chrystusa modlić się za swoje zbłąkane owce.

Pielgrzymka ta jednak nie doszła do skutku, gdyż po drodze zatrzymali św. Wojciecha zakonnicy benedyktyńscy w sławnym klasztorze Cassinum, żądając, żeby był ich biskupem. Oburzył się na to św. Wojciech i oświadczył, że nie po to zrzekł się biskupstwa w jednym kraju, by obejmować je w drugim. Kiedy nalegano na niego, zbiegł pokryjomu z Cassinum razem z bratem młodszym Radimem czyli Gaudentym i schronił się w Kampanii u opata greckich bazylianów, świętego Nilusa, który stał na czele monasteru pod wezwaniem Bogarodzicy-Dziewicy i św. Jana Chrzciciela. Cisza tego monasteru, w którym dzień cały poświęcony był modlitwie, przepięknym greckim śpiewom religijnym, wykwintnemu przepisywaniu starych ksiąg oraz studiom literackim i naukowym, nęciła skołatany walką i zgryzotami umysł byłego biskupa praskiego, dawnego pilnego ucznia magdeburskiej szkoły; pozatem oczarowała go dostojna postać opata Nilusa, najuczeńszego człowieka owych czasów, a jednocześnie umiejącego przedziwnie czytać w duszach ludzkich. Związał się z nim święty Wojciech najgorętszą przyjaźnią, płynącą z najściślejszego porozumienia serc i ducha; Nilus, choć stu lat dożył, sam świadczył, że nie znał drugiego człowieka, który by na nim tak wielkie uczynił wrażenie, jak ten młodociany, pałający żarem wewnętrznego niepokoju przybysz słowiański; nawzajem święty Wojciech nikomu w życiu tyle nie zawdzięczał duchowych podniet i korzyści, co temu spokojnemu, rozważnemu, doświadczonemu starcowi. Z rzewnymi przeto łzami rzucił się do stóp greckiego opata, prosząc go jak o największą łaskę: o przyjęcie go do swego zgromadzenia. Św. Nilus widział, że całkowity spokój i oderwanie się od świata nie są przeznaczeniem człowieka o takiej naturze, jak św. Wojciech: wiedział, że przeznaczone są mu wyższe i donioślejsze cele.

To też tylko częściowo spełnił jego prośbę, kierując jednocześnie umysł swego młodego druha ku owym celom: odesłał go mianowicie do klasztoru w Rzymie, gdzie sam często przebywał, jako duchowy kierownik. Klasztor ten, znajdujący się na wzgórzu awentyńskim, a mający wezwanie świętego Aleksego i Bonifacego, sąsiadował z pałacem młodocianego cesarza Ottona III, syna greczynki Teofano, a miał wielki wpływ na ówczesne rządy cesarstwa. Skupiało się w nim doborowe grono wybitnych mężów, przedstawicieli obrządku zarówno greckiego, jak rzymskiego, żyjących w świętej zgodzie i w podniosłym usposobieniu ducha. W tym to klasztorze św. Wojciech wraz z umiłowancm bratem swoim Radimem - Gaudentym spędził kilka lat swego życia, dając wszystkim budujący przykład nabożności, cierpliwości i pokory, a jednocześnie kształcąc głębiej umysł przysłuchiwaniem się uczonym rozmowom, rozmyślaniem, a wreszcie i pracą literacką, której próbą jest kazanie o św. Aleksym oraz życiorys dwóch męczenników. Można się domyślać, że w czasie owych rozmyślań budziło się w nim też pragnieuie męczeńskiej śmierci.

Ale z zacisza klasztornego wyrwały św. Wojciecha nowe wypadki. Oto metropolita moguncki Willigis, którego zwierzchnictwu podlegało biskupstwo praskie, widział, że zastępcze rządy owej diecezji nie przynoszą w niej zmiany na lepsze; wyprawił więc posłów do papieża z prośbą, by ten skłonił św. Wojciecha do powrotu na dawną stolicę biskupią. Długo się wahał św. Wojciech, nareszcie zgodził się wrócić, gdy przybyły w poselstwie Stracikwas zaręczył, że ludność poprawi się ze swych błędów i będzie posłuszną nakazom biskupa. Istotnie lud praski powitał swego pasterza z wielką radością i przez pewien czas dotrzymywał danej mu obietnicy. Ale niebawem znów psuć się zaczęły stosunki, zwłaszcza za sprawą rodu Warszowców, który wyzyskiwał każdą sposobność, by podjudzać Prażan przeciwko biskupowi. Znieważenie przez nich kościoła, w którym ukryła się prześladowana przez nich niewiasta, oraz zatarg na tle pogańskiego zwyczaju pomsty, zwalczanego przez biskupa, stały się przyczyną, że św. Wojciech opuścił Pragę po raz wtóry, udając się z nieodstępnym bratem Gaudentym znowu do Rzymu, gdzie go z radością przyjęli stęsknieni zakonnicy św. Aleksego. Zostawszy przełożonym klasztoru, gościł często u siebie młodego cesarza Ottona, zwanego dla wspaniałości umysłu „cudem świata”. Stykał się też z wieloma wybitnemi mężami, przodującemi zarówno kulturze świata ówczesnego, jak i światowej polityce, wśród których na czoło wysuwał się biskup leodyjski Notker i wszechstronnie uzdolniony biskup Gerbert, późniejszy papież Sylwester II. To grono ludzi niepospolitych, wśród których najpierwsze miejsce oddawano św. Wojciechowi, kierowało działalnością młodego cesarza, przysposabiało go do objęcia władzy nad światem.

Na koronację cesarza z wiosną 996 r. przybył po Rzymu arcybiskup Willigis i jął nalegać na władcę, by przyczynił się do powrotu św. Wojciecha na ziemię czeską. Po długich naradach postanowiono, że św. Wojciech będzie po raz trzeci próbował nawrócić oporne serca swych dawnych diecezjan; jeśliby jednak namowy te na nic się nie zdały i lud pruski trwał nadal w uporze,

wówczas biskup będzie miał prawo urzeczywistnić dawno żywione pragnienie — a mianowicie pójść jako misjonarz po innych ludów, nie oświeconych jeszcze całkowicie światłem wiary Chrystusowej.

Jak dawniejszym czasem, tak i teraz postanowił św. Wojciech ukoić pielgrzymką nabożną wszelkie trapiące go zgryzoty i niepewności. Odwiedził groby świętych Pańskich przy słynących nauką klasztorach benedyktyńskich francuskich, a na czas pewien zatrzymał się w Moguncji, przebywając u boku cesarza Ottona, który uczynił go swoim głównym powiernikiem i doradcą. W cichych nocnych rozmowach biskup-tułacz pouczał swego koronowanego przyjaciela, jak ma rządzić podległą mu ziemią, by te ziemskie rządy jak najbliższe były Królestwu Bożemu, by zbożny pobyt na świecie był przysposobieniem do raju, oczekującego ludzi i będącego ich celem. Rozstali się wśród płaczu wielkiego ci dwaj ludzie, tak pokrewni sobie usposobieniem i niezmierną rozległością swych szlachetnych i świetlanych marzeń.

„Tęsknota za ojczyzną niebieską”, wpajana przez św. Wojciecha cesarzowi, była w owym czasie szczególnie żywą w sercu byłego mnicha awentyńskiego, skoro miewał coraz wyraźniejsze zapowiedzi czekającej go śmierci męczeńskiej. Widział we śnie łoże wspaniale przybrane, a nad nim napis: „Dar ten śle ci Oblubienica, Córka Pana”. Sen ten wyjaśniono mu jako łaskę Bogarodzicy Dziewicy Marii, która słudze swemu oznajmia bliskie męczeństwo. Takich widzeń miał jeszcze kilka różnymi czasy święty Wojciech, ostatnie zaś — w sam dzień zgonu.

Zaraz na początku podróży doszła św. Wojciecha wieść straszna. Oto w jesieni 995 r. stronnicy Przemyślidów wpadli do zamku w Lubicy i wymordowali synów (nieżyjącego już wówczas) Sławnika wraz z rodzinami tychże, a cała kraina została przyłączona do posiadłości książąt czeskich. Z braci św. Wojciecha ocalał tylko bawiący przy nim Gaudenty, ponadto zbiegły do Polski Sobiebor, a może i wspomniany Poraj. Zakrwawiło się serce biskupa na tę wieść straszną. Nie wiedząc, czy ma wracać do Pragi, udał się do księcia polskiego Bolesława Chrobrego, „którego — jak powiadają życiorysy — oddawna był serdecznym przyjacielem”, i prosił go o pośrednictwo w tej sprawie. Wysłane przez Bolesława poselstwo spotkało się w Pradze z szyderstwem: „Nie chcieliśmy braci Wojciecha, nie chcemy i jego samego”.

Tak więc droga do stolicy diecezjalnej była zamknięta. Zostawała św. Wojciechowi druga jeszcze droga: apostolska. I tą teraz zaczął dążyć. Jak w dawniejszym jakimś czasie apostołował na Węgrzech, gdzie był podobno ojcem chrzestnym św. Szczepana, tak obecnie zaczął umacniać w wierze nawróconą niedawno Polskę, głosząc w kazaniach owe prawdy, w które wierzyć powinien człowiek zbożny, chcący się zwać chrześcijaninem, wyzwolić się z niewoli diabła i dostać się do raju po śmierci. Legenda, a czasem i oparta na silniejszych podstawach tradycja historyczna, wskazuje wiele takich miejscowości, w których miał bawić św. Wojciech podczas owej podróży misyjnej (Mucharz, Modlnica, Kraków, Kielce, Trzemeszno, Łęczyca). W źródłach historycznych mamy wyraźną wiadomość o dłuższym pobycie w Gnieźnie, co nawet u niektórych późniejszych historyków zrodziło domysł, jakoby św. Wojciech był pierwszym arcybiskupem gnieźnieńskim. Na takim stanowisku niewątpliwie pragnął go zatrzymać Bolesław Chrobry, który w swej wielkiej mądrości politycznej zdawał sobie niewątpliwie sprawę nie tylko z tego, że św. Wojciech pomoże mu ugruntować chrześcijaństwo w całej Polsce, ale i z tego, że utworzenie samodzielnego, niezależnego od magdeburskiej metropolii, arcybiskupstwa polskiego, sprawowanego przez Słowianina i człowieka tej miary co św. Wojciech, będzie jednocześnie stwierdzeniem niezawisłości Polski od Niemiec.

Wiedział o tym wszystkim św. Wojciech i rad był odwdzięczyć się wszystkim najlepszym księciu Chrobremu, który go tak miłował, i Polsce, która go tak serdecznie przyjęła. A jednak — nie mógł tu zostać. Nie bez słuszności mądry biskup Leon z Vercellae przezwał go „*homo tibi contrarius*” — człowiekiem przeciwnym samemu sobie! Bo celem św. Wojciecha nie był przecie ziemski pobyt. Jemu Bogarodzica wskazała cel wyższy — Chrystusowej Ofierze podobny: męczeństwo.

Znów rozstanie pełne niewypowiedzianego smutku — dwóch wielkich ludzi, przyjaciół. Bolesław Chrobry zrozumiał, że misja św. Wojciecha w Prusiech jest nietylko czynem zbożnym, ale też ważnym dla Polski aktem politycznym. Nie mogąc mu towarzyszyć osobiście, oddaje mu orszak honorowy; ale biskup, dotarłszy do Gdańska, odprawia polskich rycerzy i w dalszą drogę rusza piechotą, mając jeno dwóch towarzyszy: Radima-Gaudentego i kleryka Boguszę. Kroki ich osłania puszcza niezbadana... Rozpoczęła się — podjęta z kraju polskiego — doniosła wyprawa odkrywcza, cywilizacyjna, w głąb barbarzyńskiege kraju pruskiego...

Upływają wiosenne tygodnie roku 997. Za falą Wisły wezbranej, za powracającymi ptakami myśl niejednego człowieka w Polsce płynie w stronę tej kniei, gdzie odszedł ów mąż jasny, co tu głosił słowo Boże, wieścił Dobrą Nowinę. Kędyż on ninie, co się z nim dzieje?

Odpowiedź na to pytanie najpierw słyszy najstarszy z przyjaciół apostoła Prus, jego sędziwy mistrz Nilus w monasterze italskim. Greckim językiem pierwszy głosi: „Dziś przybył niebu nowy męczennik święty”. Toż objawienie ma w tym czasie nowy opat klasztoru św. Aleksego, Jan Kanaparius.

Gdy wieść tę niosą cesarzowi Ottonowi, już i Bolesław Chrobry powiadomiony jest o tym, co się stało: dn. 23 kwietnia biskup Wojciech padł jako rycerz Chrystusowy na placu boju, przeszyty włóczniami barbarzyńców, którzy znęcali się jeszcze nad poległem jego ciałem. W puszczy gdzieś leżą jego poszarpane szczątki, za których wydanie Prusacy domagają się okupu...

Wróciły do Polski czcigodne szczątki, wykupione przez Bolesława Chrobrego. Wracają wyzwoleni z jeństwa pruskiego Radim i Bogusza. Wieść staje się jawną, potwierdzoną naocznym widokiem...

Skończył się zbożny pobyt świętego Wojciecha na świecie. To już kres jego żywota — dalej jest tylko rajski przebyt. A czy skończyło się dzieło świętego Wojciecha na ziemi?

Do żywotów, które zapisano tuż po jego śmierci, późniejsi autorowie zaczęli dodawać opisy jego cudów — *Miracula Sancti Adalberti.* Są to opisy nieraz bardzo piękne — ale przeważnie mają charakter czysto legendarny. Jest jednak

jeden cud — niewątpliwie największy — którym zajmują się i historycy.

Dokonał się ten cud w pełnym różnorodnych przeczuć dla całego świata „roku tysiącznym" (jak go nazywa w „Królu-Duchu" Juliusz Słowacki). Do grobu świętego Wojciecha w Gnieźnie pielgrzymuje z pokorą, pieszo i boso, młodociany lecz potężny cesarz Romy, Otto III, przyjaciel, wielbiciel, a w znacznej mierze uczeń biskupa-Słowianina, męczennika...

Dwa ważne zdarzenia wiążą się z tą pielgrzymką cezara. Otto III ogłasza się przyjacielem Bolesława Chrobrego, czyni go władcą niezależnym, z hołdownika panem. A jednocześnie Polska staje się niezależną i w innym zakresie. W Gnieźnie powstaje polskie arcybiskupstwo metropolitalne, nie podlegające zwierzchnictwu niemieckich dostojników kościelnych. Pierwszy metropolita gnieźnieński — a jest nim brat św. Wojciecha i wojewody Sobiebora, Radim-Gaudenty — nosi już tytuł: „arcybiskup kościoła św. Wojciecha".

To arcybiskupstwo było przez całe wieki następne dowodem jedności politycznej i plemiennej jedności Polski nawet wtedy, gdy kraj nasz był w podziałach, rozbity nieszczęsnym testamentem Bolesława Krzywoustego i swarami książąt. Jak przypisywana św. Wojciechowi pieśń „Bogarodzica Dziewica" była przez czas długi naszym hymnem narodowym i towarzyszyła najwspanialszym naszym zwycięstwom, tak grób św. Wojciecha w Gnieźnie był niejednokrotnie tym punktem, od którego zaczynały się wielkie czyny, przynoszące Polsce spójnię, świetność i siłę.

JÓZEF BIRKENMAJER

SZLAKIEM ZWYCIĘZCÓW

ZMARŁY 22.IV 1922 r. w Zakopanem w 27 roku życia Eugeniusz Korwin Małaczewski pozostawił po sobie jasny błysk talentu, dwa niezapomniane tomiki: „Koń na wzgórzu" (1921) i „Pod lazurową strzechą" (1922) oraz szczery żal krytyki, która w przedwcześnie zmarłym poecie dostrzegła coś więcej niźli tylko nad wyraz świeże, oryginalne spojrzenie na przeżyte wypadki wojenne.

Dziś w perspektywie lat kilkunastu tymbardziej jesteśmy bliskimi syntezy, którą przeczuwał dopiero Małaczewski, dając ujście tęsknotom duchowym pokolenia, uzyskującym pod potężnem ciśnieniem nadchodzącego j u t r a kształt widomy.

Jednocześnie—w Polsce, która się w bólach i trudzie ale wciąż nieodmiennie stawa i w nową szatę przyobleka, rozpoznajemy jego marzenie, siłę intuicji, nie lękającej się prób najcięższych.

*

* *

Poniżej przytaczamy w całości, poza drobnemi opuszczeniami miejsc o znaczeniu prywatnem, list pisany do pp. S., z których domem w Humaniu, łączyły poetę przyjazne stosunki.

List ten jest kroniką przygód wojennych M., przyczynkiem do niektórych opowiadań ze zbiorku „Koń na wzgórzu", w szczególności kreślący heroiczne dzieje polskich straceńców, po Kaniowie przedzierających się przez Rosję w ogniu rewolucji na Murman.

Wykropkowanych między innemi zostało zdań parę, podyktowanych wspomnieniami formacyjnemi, przez swą dosadność nabierających ściśle prywatnego charakteru.

Zachowujemy pisownię autora oraz niezmienione jego wyrażenia o posmaku niekiedy rusycyzmów. Utwór, o którym wspomniano w liście „Wigilia, fragment dramatyczny w jednym akcie" został wydrukowany w r. 1921. Tekst listu podajemy na podstawie oryginału, 4 podwójnych arkusików listowego papieru (kolor kremowy).

STANISŁAW JÓZEFOWICZ

Warszawa, dnia 23 maja 1937 roku.

*

12/VI 19.

Szanowni i Drodzy Państwo.

Próżnobym mówił tu, jak mnie wzruszył i ucieszył list Państwa,— —

List mnie w Zamościu nie zastał, bo jeszcze w maju wyjechaliśmy stamtąd robić ofensywę w Galicji. Dziś już spełniliśmy tam zadanie swoje i rzucono nas tu, gdzie wróg prawdziwie groźny na naszą ziemię kieł ostrzy, a swojej, która jest naszą, w żaden sposób po dobroci oddać nie chce, choć go do tego Clemenceau i marsz. Foch mocno a tak długo namawiają.

Jak słusznie Państwo przypuszczają, na Murman dostałem się niełatwo. Wpierw odsiedziało się we wszystkich więzieniach miejskich, jakie są po drodze od Jarosławia do Archangielska. Spacerowało się po ulicy pod „widelcami" (bagnetami). Było się pod sądem wojennym, sądem polowym. Poznało się całą, rzeczywiście b. mądrą i sprężystą administrację policyjną Sowietów. Było się w końcu skazanym na rozstrzelanie. Ale krętactwo, do któregom się przypatrzył za młodu w kancelariach mecenasów, wybawiło mnie z tych opresyj.

Umiałem się bronić słowem, (gdy chodzi o własne gardło—człek przemawia za siebie okrutnie przekonywująco), gdzie to nie pomagało, kogoś się przetrąciło jego własną kolbą i jazda dalej na północ śladem Hallera, gdzie polarna gwiazda świeci. Tak więc nareszcie w połowie lipca dotarłem do Archangielska. I stałem nad Białem Morzem z głupią miną, nie wiedząc, co dalej robić. Bo pieniędzy nie miałem ani grosza, od dwuch dni nic nie jadłem, miasto było obwołane, jako będące w stanie oblężenia, do misji francuskiej zbytecznem było chodzić — bo jeszcze w gorszej, niż ja była sytuacji—siedziała za kratą wraz z Noulensem. Zacząłem sobie wtedy radzić kradzieżą mleka od od krów, pasących się po moczarach dokoła Archangielska i żebraniną po wsiach od chłopów.

Przy odpowiednim sprycie można było użebrać na dzień funt owsianego chleba. Potem ukradłem talję kart i zacząłem ludziom wróżyć, również z ręki — wtedy już byt mój poprawił się o tyle, że jadłem nawet na obiad i kolację jarząbki (to ptactwo nb. jest tam pospolite, jak w Polsce wróble). Sypiałem jedynie kiepsko, bo koło rzeki w sitowiu, gdzie mnie zagryzały na śmierć komary (komary północne potrafią kłuć przez ubranie).

Po paru tygodniach poznałem kilku takich samych, jak ja, włóczęgów, śpiących w błotach, bagnach, w nadrzecznym sitowiu. Po akcencie ich mowy w języku rosyjskim rozpoznałem, że są to Polacy. Długo do tego nie przyznawali się, dopókim nie spotkał wśród nich mego ciotecznego brata Jana Hofnera, pporucznika I korpusu Dowbora. Ten mnie wprowadził do ich koła. Była to organizacja pod dowództwem kapitana z pod Kaniowa, niejakiego Sołodkowskiego. Tułaliśmy się więc już razem, jeszcze z jaki tydzień do „bosiaków" ostatniego rzędu podobni, nieogoleni, nieumyci, wiecznie głodni, mało głodni — umierający z głodu. Było nas z początku 43-ch. Lecz jeden z nas w końcu umarł z wycieńczenia, drugi zwarjował i wskoczył do rzeki, trzeci zaś okazał się prowokatorem i zadenuncjował nas. Marynarze zrobili w nocy obławę—6 złapano. Osadzono ich w więzieniu, skazano na rozstrzelanie. Wyrok miał być wykonany 1 sierpnia r. z. zrana. Anglicy byli jeszcze o 200 kilometrów od Archangielska. Dla uratowania skazanych kapitan nasz zdobył się na krok rozpaczliwy. O świcie 1 sierpnia napadliśmy na wartę bolszewicką, wyrżnęliśmy ich po cichu, owładnęliśmy 8 karabinami. W 34 chłopa z tą bronią (8 kar.) zrobiliśmy napad na więzienie—tam zdobyliśmy resztę karabinów, dla nas potrzebnych, odbiliśmy kolegów i jakąś białą gwardję, która się do nas przyłączyła. Było nas więc już nie 40-tu, a cała setka. Awantura się wszczęła w mieście straszna. Panikę bolszewików powiększył hydroplan angielski, latający nad miastem. Rozpoczął się rozpaczliwy odwrót Łotyszów z Archangielska Dźwiną wgłąb Rosji. Trochę ich napsuliśmy. Około 800 marynarzy, w tem wielu znacznych komisarzy, rozbroiliśmy, gdy uciekali i poszli do więzienia. O 12-tej zrana miasto było w naszych rękach. Dopiero wieczorem zaczęła się złazić do nas przygnębiona moskiewska inteligencja, która widząc, że bolszewików już naprawdę w mieście niema, poczęła się zgłaszać na ochotnika do białej gwardji. W dwa dni potem przyszli Anglicy i Francuzi. Zaraz dołączyliśmy się do nich — ta nasza 40-ka i wojowaliśmy na Dźwinie od 2 sierpnia do stycznia 1919 r. bez dnia wypoczynku.

Gdy aljanci szli naprzód, byliśmy zawsze w awangardzie, gdy się cofali — arjergarda była naszym udziałem. Zrazu lekceważące pogardliwe traktowanie nas przez aljantów, przeszło nieco później w szacunek, a potem wprost w podziw i bezgraniczne zaufanie dla nas. Ubrano nas lepiej od angielskich żołnierzy, opływaliśmy we wszystko, co ma Wielka Brytanja dla swego żołnierza. Oficerom naszym dawali o jedną rangę wyżej, bylebyśmy tylko zechcieli przejść na królewską służbę J.K.M. Jerzego V na terenie Rosji, żołnierzom dawali stopnio podoficerskie i strasznie różowe horyzonty odkrywano im, byleby przeszli do angielskiego wojska (większych niedorajd jak Anglicy na lądzie nie widziałem w żadnym wojsku, ani nawet ukraińskim — o tem lepiej wiedzą Francuzi i tem się tłumaczy, że dotychczas nie mogą sobie poradzić z bolszewikami na północy Rosji.) Dziwiły ich ogromnie nasze odmowy, a jeszcze więcej niemile zdziwiło ich, kiedy nareszcie po 5 miesiącach najpodlejszej eksploatacji naszych sił, trudów i krwi, na rozkaz jenerała Hallera cofnięto nas i wywieziono do Francji. (Mowa cały czas o Dźwińskim Oddziale — oprócz nas był tam inny, liczniejszy oddział, który walczył w lepszych warunkach na Murmanie, my zaś na Dźwinie. Ten drugi oddział pozostał tam dotąd). Rezultat był świetny. Straty były nieznaczne: 4-ch zabitych.

Wszyscy oficerowie w liczbie 5-u nagrodzeni lub przedstawieni do orderu angielskiego „*Military Cross*", 14 żołnierzy nagrodzeni najwyższym stopniem „*Military Medal*". 4 cytacje do całego frontu aljantów Rosji o 4 żołnierzach, stawiające ich, jako przykład wszystkim oddziałom sprzymierzonym. Rozkaz z frontu d-cy angielskiego w północnej Rosji w dniu naszego odejścia z frontu, nazywający nas „północnymi lwami". Ale największą nagrodą był rozkaz jazdy do Francji dla połączenia się z armią błękitną i wieści, że powstaje Państwo Polskie, wolne i wielkie, że, jak się śpiewa w piosence naszej „z trudu naszego i znoju Polska powstaje by żyć".

Wśród tych, których nie było już z nami bo pozostali nazawsze leżeć w Archangielskiej ziemi, został też i brat mój cioteczny Jan Hofner. Miał 22 lat, był dzielnym oficerem, patriotą bez gestu. Poległ na bolszewickim kulomiocie, który zdobył.

O Julku[1]) wiedziałem jeszcze, będąc na Dźwinie, że miał jakoby z Ż. T. i innymi skautami wyjechać również na Murman — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

A paszport C.K.O. nietylko, że nie legitymował właściciela swego, lecz był jakoby wyrokiem do rozstrzelania tego, kto go posiadał.

Anglja, Francja, Ocean Lodowaty, Murman, Atlantyk, Londyn, Hawr, Paryż, Nancy, Bretanja, Wogezy, wszystko mi teraz pomieszało się w głowie, pamięci i w duszy i śni się po nocach.

Paryż w tem wszystkiem, osobliwie teraz, podczas Konferencji, to coś tak imponującego a zarazem tak pięknego, jak wogóle cała Francja, że się tam wszędzie, pomimo b. słabego władania francuzczyzną, czuło prawie tak dobrze jak w... Humaniu. Wielki Naród Francuski, gdzie dziś każda kobieta jest w żałobie i każdy mężczyzna w błękitnym mundurze, to coś tak bliskiego Polsce, jak sama Polska. Do tego sumienna, życzliwa praca naszych francuskich kolegów, wysoce życzliwy, a czasami serdeczny stosunek cywilnej ludności do całego wojska, nie schodząca ze szpalt wszystkich gazet francuskich kwestja polska, traktowana w tonie, do któregośmy nie nawykli, by nas, nędzarzy w Europie traktowano,—wszystko to sprawiło, że o Francji się nie zapomni, że do Francji się pojedzie, jak tylko da się, i raz i drugi i trzeci.

A jaki tryumf w duszy, gdyśmy przejeżdżali przez potężne niegdyś Niemcy. Nędza, bolszewizm, ludność wzdłuż całej naszej drogi prosząca wciąż po polsku: „Panie daj chleba". Żołnierze niemieccy, których czasem z łaski nakarmiono resztkami z naszych kuchni, gdy o strawę bez żadnego wstydu nas prosili. Takich momentów nie przeżywa się poraz drugi.

Lecz wszystko, cokolwiek widziałem w ciągu tego roku, blednie przed wrażeniem, które miałem,

[1]) Mowa o Julianie Pawczyńskim, drużynowym druż. harc. z Humania, który z grupą harcerzy przedzierał się na Murman, został uwięziony przez bolszewików i zmarł po długiej chorobie, której się nabawił w więzieniu.

jakeśmy wjechali pierwszy raz w Poznańskie. Popłakał się cały nasz pociąg, dla kompanii popłakali się z nami i nasi Francuzi. Wielkopolska to jest Wielka Polska. Nazwa bohaterskiej dzielnicy jest dla niej słuszną. A żołnierz — co to za żołnierz—co za nasz, co za kochany kolega. Nie taki jak — — — — ci, co jak siedzą, tak siedzieli po kawiarniach krakowskich wtedy, gdy pobliskiego Lwowa kobiety i dzieci broniły — — — — — — — — — — — — — — —

Potem parę tygodni w Zamościu. Dalej wyprawa na hajdamaków. Forsowny pochód z nadeptywaniem stałym na migocące pięty ukraińskie...

Słowem dobrze jest na świecie, a w Polsce, jako w żadnym kraju.

Gdy jeszcze

„dosięgniem ukochaniem
zaborczych naszych rąk
do Szląskich wzgórz i gajów,
do królewieckich łąk...“

jakem pisał, a nawet w swoim czasie ku zbudowaniu potomności drukował w paryskim „Polaku“—wtedy będzie można odpocząć za te cztery lata, które zeszły mi na wojnie (z nich już drugi się kończy, jak w służbie Rzeczypospolitej). Będzie nawet można znów zabrać się do sztuki dla sztuki. Ale teraz „nie czas marzyć o kochaniu, o kochance, o róż braniu”.

Powiedział tak największy dla mnie poeta polski Miecz. Romanowski — największy, bo nie uciekł sromotnie przed powstaniem zagranicę, jak to robili więksi od niego talentem genjalni nasi wieszczowie. Nie uciekł, ale wojował, a skoro było trzeba to i zginął. Goszczyński, choć straszny wierszokleta, był też porządnym oficerem. O Godebskim nie mówię, bo podporucznik o pułkowniku może mówić tylko na „baczność” a i poeta to był zdaje się mniejszy, aniżeli rycerz.

Wszystko zatem, co piszę teraz chętniebym schował od (chyba dla) p. C., który wiem, że nie pochwali mnie, iż nadużywam lutni, piejąc nie tylko na cześć sztuki dla sztuki, ale i wtrącam w rymy i tę naszą Rzeczpospolitą.

W tułaczce na Dźwinie napisałem poemat dramatyczny „Wigilja”. Nastrój nasz, żołnierzy-tułaczy, postarałem się tam oddać w nastrojach pokrewnych nam duchem żołnierzy Konopki, co podobnież w dalekiej Hiszpanji, jako i my w sto lat po nich w Sowieckiej Rosji walczyli.

Nie wiem, czy się wkrótce wybiorę do Warszawy. Nowa wojna, wojna poważna o Śląsk wisi w powietrzu. —

chciałbym koniecznie wydać „Wigilję”, która mnie i moim kolegom wydaje się rzeczą niezłą, a przedewszystkiem aktualną bardzo. Prócz to dedykacja, znajdująca się na okładce mówi, że chciałbym uczcić tym skromnym złomem słowa tych, „co walczyli ze mną o Rzeczpospolitą i leżą w Archangielskiej i Murmańskiej ziemi”. Przesyłam w opasce pocztowej „Wigilję”. Może można będzie coś z tem zrobić. Niech jednakowoż wpierw wyda o tem opinję p. C., którego uważam za bezapelacyjnego i jedynego krytyka dla mojej pisaniny. Bardzo Go o to proszę.

Proszę bardzo o dalsze listy. Nic milszego dla żołnierza w polu list od znajomych.

Narazie do 25-go, będę zapewnie cały czas w Czeladzi, Zagłębiu — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Po 25-tym znowu na pułk.

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Z najgłębszym dla Drogich Państwa szacunkiem i miłością.

EUG. MAŁACZEWSKI

BURZA NAD PRĄDNIKIEM

Klęska, która teraz nawiedziła dolinę Prądnika i jej okolicę, nie jest zdarzeniem w tych stronach bezprzykładnym, skoro Adolf Dygasiński, z tą ziemią tak mocno związany, w arcydziele swoim „Gody życia“ (1901) tak zjawisko podobne opisał, jakby świadkiem był katastrofy tegorocznej. Poeta przeniósł ten obraz w czasy przedhistoryczne i wyjaśnił go mitologicznie. Była to walka Jasnego (słońca) z duchem Ciemności, kierowana przez bożyca Peruna. Wiemy z meteorologii, że w rzeczywistości gwałtowność burzy w tej miejscowości tłumaczy się nagłym zetknięciem w pewnych warunkach kolumny powietrza, rozgrzanego na nizinie Sandomierskiej i unoszącego masę pary, — z chłodem górnych stoków „Jury Krakowskiej“. Wywiązane w ten sposób z kolumny na małej przestrzeni wody spadają, jakby „urwała się chmura“, przy strasznej kanonadzie piorunów. Przytoczona poniżej w urywkach wizja burzy Dygasińskiego ożywi w naszej wyobraźni opisy katastrofy, podane w telegramach, a zarazem przypomni nam wspaniały talent Dygasińskiego w 35 rocznicę śmierci pisarza. Red.

POWIETRZE duszne tak wygląda, jakby je pył zaprószył? Co to będzie?

Jasny wydał rozkaz, a Perun przygotował Niebiosa do bitwy.

— — — — — — — — — — — — — —

Oh, jakiż ruch niezmierny widać na Niebiosach, co za zgiełki przeraźliwe słychać!...

Biada wrogowi, biada wszystkim mimowolnym świadkom bojów Perunowych! Zapewne niejeden niewinny zginie, a choć go bogi obdarzą żywotem pośmiertnym lepszym, Ziemia jednak utraci ogniwo w łańcuchu Życia.

Pan gniewnie dmuchnął z Nieba.

Jodły brodate, świerki i sosny mruknęły uroczyście, przeciągle, a ich konary skrzypią i trzeszczą w stawach. Gałęzie wiotkie brzóz odpłynęły na bok jak fala, obnażyły ciało drzew piękne, białe, zdobne przepaskami czarnemi. Szepty tajemnicze brzeziny pomknęły w bór, podobne do szeptu modlitwy ludu zebranego w świątyni. A może to gwar rusałek, boginek lasu?

Liście osiki już przedtem lękliwie drżały, teraz trzęsą się, miotają niespokojnie—niby motyle nitkami przywiązane za nogi. Czy to nie dusze jakie czarodziejsko więzione w drzewach? Dęby, buki i klony zaszumiały tak, jakgdyby wody napływały skądś zdaleka, ażeby zalać Ziemię. Każde drzewo mówiło szumem co innego. Korona całego boru —

jeden dach, czy tarcza olbrzymia—drgała, gięła się i mieniła odcieniami zieleni.

Wicher zadął silniej, zatargał brody jodeł, rozrzucił namiętnie strojne warkocze brzóz, szumnie zadwonił w blaszki listne topoli i osiki, zaczął się mocować z dębem, bukiem, lipą. Zawył przeraźliwie, wyskoczył pląsem szalonym na dolinę strumienia, zmarszczył tu wodę wełną, wzburzył, porwał na brzegu garść trawy, sknbnął nieco liści, zagarnął kilka motyli i poleciał w jaskinie, w jary. Tam huczał, gwizdał, przyzywał świstem na pomoc gromy, warczące groźnie w obłokach. Zdał się być strażą przednią wojennych hufców Peruna.

Naraz świat sczerniał, puszcza stała pod grozą burzy wiszącej u sklepienia Nieba. Drzewa poważnie wzniosły teraz głowy do góry, milczą, a jednak zdają się mówić:

— My nie ustąpimy!

Poleciały błyskawice, zorały w brózdy świetlne strop niebios czarny. Ogień piorunów z trzaskiem niezmiernym sypał się w łono puszczy, jaskrawo oświetlał szczyty drzew, rozwalał skały w gruzy.

Woda waliła z upustów niebieskich, strumieniami lała się na bary gór, skał, wsiąkała w przepaści Bohboru. Las nad Prądnikiem wyglądał jak wielka drużyna bohaterów-wojów, idących mężnie do boju z swymi wojewodami, turami jaremi na czele. Kotły i surmy przygrywały im hucznie.

Biesowie już z-pierwotka ciężko się polękli i popłoch ogromny szedł przez ich tabory. Umykali się na powietrzu i na wszech niskościach.

Wódzca proporca czarnego w puszczy nadprądnickiej, bożec leśny, nie mógł wydzierżeć natarcia, opuścił obóz mnogich lichów i dziwów i w skoku rączym najpierwszy kwapił się do ucieczki. Ogień gęsty błyskawic sypał się za nim w pogoń, bicze cięte dżdżów smagały go setnie, kule gradowe raziły.

Chudziec, co się boi wody bardziej niż ognia, widział teraz, że z panem nierównym ma sprawę. Zwinął się jak wąż w kłębek, wskoczył do dziupli dębu wypróchniałego, przycupnął tam i siedział cicho.

Nagle piorun potężny wypadł z Nieba, obsypał drzewo iskrami zapalnemi, ogarnął zewsząd pożarem. Straszna sobótka.

Żupan biesów, przypiekany ogniem żywym, nie mógł dosiedzieć: wyskoczył co żywo i wyjąc wściekle gnał przez knieje w susach szalonych. Jego okrzyki dzikie powiększyły zgiełk burzy i tak wielki.

— — — — — — — — — — — —

Ryki stłumione, pomruki, groźby, wycia wściekłe napełniają podziemia. A bóstwa czarne same zgnębione strachem, nie mają siły, aby poskromić tłuszczę zwierząt rozjuszonych.

Ognisty syn Jasnego, stojąc na niebie wysokiem, widział, dokąd biesy się chronią, i natychmiast postanowił dotrzeć do ich kryjówki. Uśmiech ożywił mu poważne oblicze bohaterskie i rzekł:

— Zaprawdę, nie dosięgnę was ogniem w tych norach; ale przemogę wodą potopu.

W mgnieniu oka prawicą krzepką zburzył wszelkie groble, jazy, tamujące odpływ wód, napierających z Niebios. Lunął na Ziemię potop, jakiego świat nie oglądał od prawieków. Huk nadzwyczajny rozległ się w przestworzach górnych. Powódź ulewy buchała potokami szerokiemi, grady ciężkie świstały, węże błyskawic długich latały ciągle od Nieba do Ziemi.

Dopiero wichry, chłopy okrutne, podsadziły się barami i podniosły całe to brzemię w pędzie szalonym od zachodu ku wschodowi, aby je zwalić na Ziemię, gdzie tam wypadnie. Niebo, szlaki powietrzne, padoły ziemskie — wszystko zniknęło, stało w wodzie.

W naszym Bohborze potoki wartkie rwały z gór i siłą pędu ryły sobie koryta; podrywały korzenie drzew, podmywały stopy obok, niosąc w dani Prądnikowi kłody, mchy, krzewy, kamienie, gniazda ptaków.

Bóg piorunów, rażąc zastępy biesów, niszczył jednocześnie dzieła Słońca i Ziemi: czynił to w zapale wojennym, w upojeniu zwycięzcy-bohatera. Burze są jego żywiołem, a gody świętuje na polu bitew wśród trzasku piorunów.

Prądnik szybko wzbierał, wystąpił z łoża swego, zalał ługi, polany; jeszcze urósł i wdarł się w mnogie parowy boru, hulał po wertepach. Niebo ciągle mu słało posiłki nowe, popychało do wybryków szalonych. Już morze wielkie wre w całej dolinie, szumi, bije gniewnie falą spienioną o skały, stawiające mu tamę. Tylko szczyty gór sterczą nad jego powierzchnią.

Żubry, jelenie, borsuki, lisy, zające i inne zwierzęta, zbite w gromady, lękliwie spoglądają z tych ostrowów wyniosłych po otchłaniach wodnych. Stada kaczek dzikich, nurów, kołyszą się na wodach; czaple, rybitwy, kuliki krążą w powietrzu.

Co to będzie, jeśli morze wedrze się i na góry? Bo czyż można wiedzieć, kiedy i gdzie Perun się zatrzyma?

Ogień gniewu boskiego, strasznie świecący w błyskawicach, ciągle jeszcze przelata ponad światem.

Ptaki wywiodły z gniazd swoje pisklęta niedojrzałe, jęczą, utyskują, wskazują drobiazgowi sposoby ocalenia.

— — — — — — — — — — — —

Nareszcie Perun, zemdlony pracą, poparzony ogniem, okopcony dymem, a już pewny zwycięstwa, jął dawać folgę prawicy dzielnej. Widocznie myślał o spoczynku.

A wody właśnie wtargnęły do jaskiń, wypierały stamtąd biesów przelękłych, zatopiły mnóstwo zwierząt drapieżnych.

Sam Czarny wypadł z jakiejś kryjówki podziemnej, zgrzytał wściekle, groził niebu ręką, złożoną w kułak. U stóp góry Chełmowej rozpostarł swój płaszcz nocy, jak żagiel korabia, i dunął na nim przez powietrze.

Ciemności okropne zawisły w tej chwili nad puszczą i nad wodami. Błyskawice coraz rzadsze latały po świecie omackiem. Ostatnie zapasy wód wysączały się z niebios. Cisza grobowa zaległa ponad ziemią.

Dziś jeszcze stoi u brzegu Prądnika skała wyniosła, stroma i naga, ze szczytem jakby o pięciu palcach wzniesionych do nieba. Imię jej Ręka. Na czubie palca średniego, najwyższego, czarny bóg usiadł, a nogi wdół opuścił.

ADOLF DYGASIŃSKI

NA WIDOWNI

O wielkiej ojczyźnie i małej. — Człowiekowi niezbędne są szczudła. — One nas wiodą w zwyż. — Źródła zdrowia i wielkości narodu.

STRASZNA katastrofa ulew, gradów i powodzi jaka nawiedziła tak niedawno Kieleckie — przypomniała mi z całą mocą głęboki sens regionalizmu: —, że wielką ojczyznę kocha się zawsze w małej. Owe sensacyjne notatki w gazetach, mówiące o miejscowościach tak dobrze znanych i tak ściśle zespolonych z przerozmaitemi chwilami życia, przejmowały mię do żywego. To było rzeczywiście nieszczęście moich ludzi i mojego kraju, a gdyby ta sama katastrofa wydarzyła się, powiedzmy na Wołyniu, to bolałbym nad tem bardzo oderwanie i bardzo abstrakcyjnie, chociaż to także Polska i bezprzecznie kawał ojczyzny. Ale prawdziwa, istotnie odczuwana ojczyzna, odczuwana wprost instyktowo, — to tylko zawsze kraj lat dziecinnych, kraj swój i dobrze znany, gdzie leżą groby ojców i gdzie każdziutką drobnostkę pamięta się od małego, i kocha bez rozumowania.

Człowiek prosty nie ma oczywiście poczucia ojczyzny większej nad jego parafię, a jeśli ma, to jakieś nader mgliste i niepewne, — ale i my nacjonaliści i wszechpolacy także Polskę kochamy przede wszystkim jako jakiś jej kąt; i jest to zrozumiałe skoro człowiek jest człowiekiem i abstrakt, czy byt ważny musi przecież przez coś sobie wyobrażać, przez coś widzieć. A zresztą owa wielka całość wprost kusi do tego, by coś w niej sobie wybrać i z czemś ściślej się zespolić. To też my sami tworzymy sobie tysiące regionalizmów psychicznych — wybierając, najczęściej idąc za instyktem regionalizmu ziemi — jakieś postacie i okresy naszej historii do specjalnego kochania, i jakieś zjawiska dzisiejszości do specjalnego lubienia. Idzie to często tak daleko, że nieraz coś najoczywiściej polskiego i to najbardziej polskiego — echa w sercu nie wywoła, gdy ono się do tego instyktem swojej ziemi nie wzwyczaiło. Chyba Wawel jest jedynem *sacro-sanctum* Polski, istotnym Panteonem i Akropolem. A jednak miałem profesora historyka, Litwina spod Szawel, który na lekcjach historii ze wzruszeniem opowiadał nam o Wilnie, jako o najśliczniejszem, najdroższem dla Polaka miejscu, dodając równocześnie, że Kraków też ładny, ale że jego przeszłość nie wzrusza, bo to zbyt odległe i zamierzchłe. Mój Boże! — a mnie tymczasem serce zawsze bije najmocniej w Krakowie, a Wilno choć podobało mi się — zostało zawsze dla mnie obcem i dalekiem. I dużo bardziej Polakiem czuję się już nie tylko w katedrze wawelskiej ale wprost błądząc po starych krakowskich ulicach, czy tak dziś skandalicznie przerzedzonych plantach — niż tam w mickiewiczowskim grodzie, którego cała regionalna litewskość jest mi najzupełniej obca. No, a cały sekret w tem, że z wielkich miast Polski najbardziej przywykłem do Krakowa, bo pierwszy raz pojechałem tam jeszcze małym chłopcem końmi z romantycznym przeprzęgiem w Bronowicach i że od tego czasu, choć w nim nigdy nie mieszkałem, snuł się on przez całe moje życie, a Wilno zobaczyłem tylko raz jeden i to jako turysta, jadący w całkiem nieznane.

Czy to źle, że serce ludzkie ma także swoje nawyki? czy naprawdę jest złem, że w gruncie rzeczy zawsze jesteśmy trochę partykularystami? Nie wydaje mi się; nic naprawdę wrodzonego i ludzkiego nie może być złem. Człowiek jest człowiekiem i do rzeczy dobrych, wielkich potrzebuje szczudeł. Dusza jego jak bluszcz musi się owijać o ideały, i tak jak krzewom pomagamy piąć się po murach różnemi siatkami, czy kratami — tak i sobie musimy w tych dążeniach pomagać przez pielęgnowanie i pilnowanie tych naturalnych przywiązań, które nam Bóg w dusze zasiał i zaszczepił.

Wszystko co poszerza nam dusze, co sprawia, że kochamy, jest dobre, a jedna miłość uczy zawsze drugiej. Najprzód dzieckiem kocha się tylko swój kąt, potem już idzie się dalej i dalej, coraz więcej pojmując. Ale te bliskie rzeczy kocha się zawsze najwięcej i jest to jakby jakaś wrodzona wdzięczność za to, że to one właśnie nas wogóle kochać nauczyły. I im stanowczo należy się ten prymat. Jestem Polakiem, — ale urodziłem się nie w abstrakcyjnej Polsce, tylko w jakimś jej określonym zakątku i to miejsce właśnie wiąże mnie z ojczyzną.

Człowiek pełny, (a taki jest jedynie istotnie wartościowy) to człowiek, który żadnego dobra nie odtrąca i któremu ludzkie sprawy i rzeczy nie są obce. A cały obowiązek i sztuka kultury by takich ludzi było jak najwięcej, by ona żadnych źródeł życia nie wysuszała. Niech będzie różnorodność, niech one wszystkie żyją, bo z nich się wielka całość składa, i polska kultura będzie wtedy wielka i zdrowa, gdy na człowieku realnym i regionalnym, a nie na abstrakcie-kolektywie budować będzie i potrafi.

Nie tak dawno toczyłem bój w obronie heraldyzmu i tu jeszcze raz wrócę do tego. Przecież to także region i nić bardzo potężnie mię wiążąca z Ojczyzną. Karty przeszłości ożywają, gdy można sobie powiedzieć: — w tej bitwie brał udział mój pradziad, do tego dzieła się przyczynił, ten uszczerbek dla ojczyzny poniósł... Zabijcie tę tradycję w imię tego, że to próżność, czy snobizm — a jakżeż bardzo człowiek zmaleje i jak bardzo skurczy się ojczyzna, jak zimnemi i chłodnemi wydadzą się nam jej dzieje.

Człowiek pełny to nie jakaś prosta istność doczesna, ale człowiek mający głód nieśmiertelności i chcący jej. Człowiek czujący, że nie powinien minąć bez śladu. Mający coś, jak wiarę, że jest, był i będzie. Z jednej strony patrzy więc w przeszłość, w owe groby naddziadów, co „proszą o westchnienie do Boga”, a z drugiej w przyszłość, którą swem dzisiaj dla narodu i potomności buduje. O ile nie ma tego wyczucia cmentarzy i przyszłości to się oddala od największego na ziemi źródła nieśmiertelności, jakiem jest naród. Wszystko, co go do tego źródła zbliża, jest wielkie i święte i wszystko to czcić i poważać należy.

To też narodowa Polska, gdy chce być żywą i zdrową winna dać Polakowi jego warunki przyrodzone. Pozwolić żyć jednostce w jej naturalnych kręgach i przez te kręgi w narodzie. Nie krępować niczego, co tę jednostkę wzwyż dźwiga

i podnosi, bo naprawdę silny naród i silne państwo są tylko wtedy, gdy człowiek jest w nich pełny i silny i ma możność rozwijania swej osobowości. To też do wszelkich wielkości kolektywnych dojść można tylko przez człowieka, bo on jeden ma duszę nieśmiertelną i tej swojej duszy wszystkiemu wokół udziela. To prawda jedyna i nieśmiertelna, której się trzymać oburącz trzeba.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

HOENE-WROŃSKI I KABAŁA

„Pro Christo" miesięcznik młodych katolików, bardzo słusznie zajął się sprawą filozofii Hoene-Wrońskiego i kategorycznie sprzeciwił się wysuwaniu jej, jako jakiegoś drogowskazu dla przyszłej Wielkiej Polski.

Rzucono się nań za to z wielu stron i oczywiście rzecz całą usiłowano przedstawić jako niepoważny, nieprzemyślany wybryk i chorobliwe doszukiwanie się wszędzie ręki żydów i masoństwa. A jednak artykuły umieszczane w *„Pro Christo"* wszystkie były bardzo rzeczowe i zasługujące na lepszą polemikę — tylko, że o tę dziś coraz trudniej.

W numerze kwietniowym p. A. Poronowski zamieścił otwarty artykuł; „Filozofia Hoene Wrońskiego oparta jest na kabale", który kwestii jeszcze nie wyczerpuje, bo

„Filozofia absolutna" albo „mesjaniczna", stworzona przez Hoene-Wrońskiego, jest — najogólniej mówiąc — oparta na Kabale żydowskiej. W związku z powyższem stwierdzeniem nasuwają się trzy następujące tematy do rozważenia, jako pewnego rodzaju dodatkowe sprawdziany:

Po pierwsze: Jeśli filozofia Hoene-Wrońskiego jest oparta na Kabale żydowskiej, to uczniowie Hoene-Wrońskiego i wyznawcy jego doktryny, „wrońskiści" — „gmina wrońskistów", jak ich nazywa Adolf Nowaczyński — powinni również parać się z Kabałą żydowską. Zajmiemy się tym tematem w następnym artykule „Wybitni wrońskiści — kabalistami".

Po drugie: Jeżeli filozofia Hoene-Wrońskiego jest oparta na Kabale żydowskiej, to jest ona „uprawiana" także w masońskich zakonach kabalistycznych, pielęgnujących nauki Kabały żydowskiej. Do takich należy przede wszystkim masoński, kabalistyczny „Zakon Martynistów". Tym tematem zajmiemy się w artykule „Masoneria zwalczała osobę Hoene-Wrońskiego, a dzieła jego uważa za swoje". Inny bowiem jest stosunek masonerii do osoby Hoene-Wrońskiedo, jako zdradzającego i odkrywającego profanom „prawdy" Kabały żydowskiej, będące — według ich własnego mniemania — wyłączną własnością stowarzyszeń tajnych, a inny do filozofii Hoene-Wrońskiego, opartej i rozwijającej w pewnym sensie Kabałę żydowską.

Po trzecie: Jeśli filozofia Hoene-Wrońskiego jest oparta na Kabale żydowskiej, to jest ona sprzeczna z nauką Kościoła katolickiego, tak jak sprzeczną jest sama Kabała, która — nawet oficjalnie — została potępiona przez Kościół. Tematem tym zajmiemy się w artykule „Filozofia Hoene-Wrońskiego jest sprzeczna z nauką Kościoła Katolickiego".

Widzimy więc że miesięcznik ten redagowany przez ks. Pawskiego ostro zabrał się do rzeczy i napewno da sobie radę z maniacką, a więc i szkodliwą sektą wrońskistów.

Z niecierpliwością czekamy na zapowiedziane artykuły.

PANOWIE W FARTUSZKACH

Znowu w Warszawie odbyć się ma zjazd esperantystów. Znowu na murach dworców kolejowych widzimy afisze z wizerunkiem zamku królewskiego w Warszawie i z gwiazdą pięcioramienną, filuternie mrugającą do wszystkich maniaków esperanckich rozsypanych po całym świecie. Znowu delegacje zwolenników panowania jednego z najdziwaczniejszych tworów — sztucznego języka składać będą wieńce na grobie dra Zamenhofa. Imieniem tegoż Zamenhofa „uczczono" jedną z ulic stołecznych, tę gdzie to dzień w dzień żydziaki wywieszają czerwone płachty, które policja ściągać musi z drutów tramwajowych. Tę a nie inną. Przypadek? Moze, ale znamienny.

Pamiętamy poprzedni zjazd esperantystów w pierwszych dniach czerwca 1933-go roku. Witano go oficjalnie w salach ratusza. Że to niby taki splendor spada na Warszawę ogromny. W tym samym czasie odbywał się w stolicy zjazd stu polskich Korporacji akademickich. Jakież mu czyniono. przeszkody w złożeniu wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza!

Faktów takich nie rozumiano zupełnie. Jakto— pytano — czyż nie wolno czcić młodzieży bohaterstwa, gdy jednocześnie dozwala się międzynarodowej zbieraninie na składanie hołdu niewyszukanej koncepcji żyda z ulicy Dzikiej i jeszcze do tego zbieraninę tę wita się oficjalnie, udzielając jej sal ratuszowych?

Powoli, powoli wszystko się wyjaśnia. Oto przed kilku dniami prasa podała rewelacyjne sprawozdanie z wizytacji lóż rytuału szkockiego dokonanej w Polsce, Anglii, Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Austrii i na Węgrzech. Wizytowali dwaj Amerykanie pp. John Cowles oraz William Moseley Brown. Na dworcu witał ich, któżby inny, jak nie komandor Stanisław Stempowski i wielki sekretarz generalny Zbigniew Skokowski a podejmowano gości w gmachu Państwowej Dyrekcji Lasów, co organ Związku Rad Najwyższych masonerii obrządku szkockiego *„The New Age"* uważa za objaw postępu w stosunku do lat poprzednich, gdy to konwentykle i bankiety odbywać się mogły jedynie w lokalach „braci".

Nie będziemy cytować dalszych rewelacyjnych wiadomości — znamy je przecież wszyscy z dzienników, zajmujących w stosunku do wolnomularstwa stanowisko nieprzejednane. Wdzięczni jesteśmy bardzo „braciom", iż się trochę wygadali i uchylili rąbka fartuszków, swoich pilnie strzeżonych tajemnic.

Sądzimy, iż należy przypomnieć słuszne żądania z przed kilku miesięcy, domagające się ujawnienia masonerii. Byłby to pierwszy krok uczyniony w kierunku rzetelnego jej tępienia, co stanowi potrzebę najpilniejszą. Niszczyć należy najbezwzględniej wszelkie ośrodki siejące rozkład narodowej duszy. Dotrzeć należy do miejsc promieniowania tych ośrodków, szczególnie na odcinku wychowania młodzieży. Nam nie czas na pojenie się frazesami pacyfistycznymi, na „ułatwione życie", i t. p. zastarzałe bzdury.

Ujawnić loże, śmiesznych panów wystawić na publiczne pośmiewisko, a tych co to dali wizy członkom międzynarodówki, jadącym do Polski celem penetracji jej życia we wszelkich przejawach, pociągnąć do odpowiedzialności za ułatwianie pracy przedstawicielom „obcych agentur".

NAUKA i LITERATURA

„ODRODZENIE"

F. Funck-Brentano. „Odrodzenie". Przełożył z francuskiego dr. Edward Boyé. Warszawa 1937. „Płomień". S. 346—cena 12 zł.

FRANCK-BRENTANO, członek Instytutu Francuskiego, znakomity historyk, należy ideowo do grupy *Action Française* i trochę dziwacznem zdawać się może wydanie w przekładzie jego dzieła przez Spółkę żydowską „Płomień". Jak zwykle, w takim razie wybrano dzieło słabsze, powiedziałbym nawet nieudane, a przynętą dla wydawcy były chyba różne skandaliki dworu papieży, znacznie barwniej zresztą odtworzone przez Chłędowskiego.

O książce Brentano była swego czasu wzmianka w „Myśli", jeszcze zaraz po jej ukazaniu się we Francji—może sobie ją nawet czytelnicy przypominają. Nie była ona dla książki surowa i w tej drugiej instancji recenzyjnej zaostrzyłbym znacznie wyrok. Dzieło Brentana nie jest dobre, bo autorowi brak wizji renesansu, nie umie go scharakteryzować i określić jego roli dziejowej, a w chwaleniu miłych sobie okresów historycznych jest naiwnie wprost nieumiarkowany i bezceremonialny, — daleko mu do taktu, siły dialektycznej i zręczności Gaxotte'a, którego śmiało można uznać, zwłaszcza po śmierci Bainville'a za najwybitniejszego z monarchistycznych historyków Francji.

Książka więc jaką nam teraz dał „Płomień" w dość okazałej szacie zewnętrznej—jest sama przez się nie nadzwyczajna i nie zasługująca na tłumaczenie, które zresztą dano takie, jakby ją chciano wręcz czytelnikowi obrzydzić. Mimo bowiem, że jest podpisana przez dr. Edwarda Boyé jeży się od błędów, nie chce mi się wierzyć, by rzeczywiście tłumaczył Boyé, chyba przez dobroć serca dał się wyręczyć jakiemuś pismakowi.

Żeby zabawić czytelników przytoczę tu trochę owych kwiatków, — a więc nazw geograficznych z reguły się nie tłumaczy zostawiając nazwy francuskie zamiast polskich jak mi się wydaje—z prostej niewiedzy. Występuje więc arcybiskup z Mayence (Moguncji) prymas Niemiec; Karol V bawi w Anvers, zamiast w Antwerpii; Erazm z Rotterdamu mieszka w Bâle a nie w Bazylei; Gwizjuszowie panują w Lorraine a nie w Lotaryngii i tak bez końca. Mamy nawet Sawoję i sawojardczyków zamiast Sabaudii, i co jest już prawdziwą zgrozą Leutshau zamiast spiskiej Liwoczy, znanej choćby z „Białej Damy" Jokaja.

Gdy tak tłumacz nie tłumaczy tego co trzeba, tem niefortunniejszą jest gdzieindziej jego gorliwość. Co ma znaczyć tajemniczy „Kanclerz szpitala", domyśliłem się (francuski kanclerz Mikołaj de L'Hôpital) ale co za osoba kryje się pod „burmistrzem Belgów" nie udało mi się dociec.

Nie dajcie się więc złapać na tego Brentano, choć to zresztą niezły skądinąd autor, nie czytajcie tej książki — a tymbardziej jej nie kupujcie. K. S. F.

RUCH WYDAWNICZY

Manteufel Jerzy. „Książka w starożytności". Z 26 ilustracjami. Państwowe Wydawn. Książek Szkolnych. Lwów 1937. S. 120+1 nlb. (Cena 3 zł.)

Jest to drugi tomik z cyklu p. t. „Grecja i Rzym", który ma za zadanie dostarczanie źródłowych, ale podanych w przystępnej formie wiadomości o życiu i kulturze dawnych Greków i Rzymian. W pięciu rozdziałach omawia autor wyczerpująco dzieje książki starożytnej (zwoju i kodeksu) od czasów zamierzchłych aż do przemian polityczno-kulturalnych, inaugurujących średniowiecze, uwzględniając w szerokim zakresie także rozwój pisma i materiałów piśmiennych.

Dzieje książki ujmuje autor nietylko z punktu widzenia ewolucji jej wyglądu zewnętrznego (zwój, kodeks, formaty, ilustracje), lecz również z punktu widzenia jej roli i znaczenia społeczno-gospodarczego (zbiory, biblioteki, czytelnictwo, wydawcy, księgarnie).

Jest to pierwszy zarys dziejów książki starożytnej w języku polskim, oparty na najnowszych badaniach naukowych w tej dziedzinie.

Zygmunt Nagrodzki. „Rola duchowieństwa katolickiego w godzinie prób i cierpień na terenie Litwy i Białorusi (1863—1883 r.) Wilno 1937. Skład główny Dom Książki Polskiej.

Erę prześladowań rozpoczął Murawiew-Wieszatiel od skatowania i rozstrzelania księdza Stanisława Iszary i księdza Ziemieckiego, za to, że przeczytali z ambon dostarczony im przez powstańców manifest, tak zwanego, rządu narodowego. A następnie wysłał na osiedlenie do Wiatki księdza biskupa Krasińskiego, i wielu księży do ciężkich robót w różnych miejscowościach Syberii.

Większą jednak krzywdę narodowi i Kościołowi wyrządził Murawiew skaptowaniem księży dla celów rusyfikacji. Żyliński, Tupalski i Niemeksza, ludzie o miedzianem czole, chciwi zysku i rozpustni, pomagali wraz z tajnymi agentami policji, do tłumienia ruchu narodowego i zniszczenia Kościoła na Litwie: Jakich do tego nie wahali się używać środków, dość powiedzieć, że ks. Niemeksza nawiedzał więzienia, „niby to dla spowiadania, a głównie dla namawiania więźniów, ażeby wydali wspólwinnych w ruchu powstańczym. Nieraz w nocy, otoczony policją i żandarmami, odbywał rewizje klasztorów, probostw. W kilka dni po takiej rewizji następowało zazwyczaj uwięzienie jakiegoś księdza, zamknięcie kościoła, albo rozpędzenie zakonnic lub zakonników".

Ks. Strzelecki w Podbrzeziu przeszedł na prawosławie i oddał kościół na cerkiew.

Wielką karierę, prócz otrzymania nagród pieniężnych, zrobił ks. Ferdynand Senczykowski, potrójny dziekan i wizytator kościołów w ziemi Mińskiej, kanonik honorowy Katedry wileńskiej, członek Kapituły tejże Katedry, kawaler licznych krzyżów i orderów, oraz medalu „*Za usmirenie Polskawo miatieża*".

Książka Z. Nagrodzkiego, oparta na obwieszczeniach, drukowanych na szpaltach „Wileńskiego Wiestnika", na urzędowych wykazach, adresach hołdowniczych, raportach i pamiętnikach, prawdziwa i przez to tragiczna. Na szczęście podaje również szczegółowe wiadomości o zdrowym duchowo, namiętnym odporze polskiego ludu wiejskiego, przeciw narzucaniu nabożeństwom języka rosyjskiego.

Tak ci z ludu, jak i tysiączne rzesze księży wiernych zasadom, ulegało wielu udrękom i męczeństwu. (A. W.)

*

Różne się święci rocznice: jedne radosne i pełne triumfu, drugie smutne i żałobne. W Rzymie święcono co roku dzień bitwy nad Allią, jako pamiątkę hańby i klęski. Takim „Dniem Allijskim" jest i będzie dla Polski rocznica sławetnego dekretu Janusza Jędrzejewicza kasującego za jednym zamachem 52 katedry uniwersyteckie. Autor dekretu dorównał w doniosłości swego czynu różnym sławnym osobistościom, które z podobnych względów kasowały u nas katedry i prześladowały profesorów; trudno było lepiej uświetnić 100-ną rocznicę zamknięcia uniwersytetu warszawskiego i wileńskiego, 60-lecia odebrania Wincentemu Polowi katedry uniwersyteckiej przez Austriaków oraz zbliżające się za lat kilka 70-lecie zamknięcia Szkoły Głównej; trudno też było serdeczniejszy hołd złożyć cieniom Nowosilcowa, Bajkowa i Pelikana...

W owe to zapatrzony wzory, niezapomniany projektodawca uznał, że rozwijanie nauki i oświaty to rzecz niegodna czasów obecnych; należy przeto zwijać oświatę i naukę...

W drugą rocznicę owego pamiętnego zwijania wydał prof. S. Glixelli (dziś wykładający literaturę polską w Bukareszcie) broszurę zawierającą zbiór faktów, dotyczących zasługi J. Jędrzejewicza. Obecnie otrzymujemy drugą wiązankę tych faktów w broszurze „W trzecią rocznicę zwinięcia 52 katedr w szkołach akademickich" (Lwów, skład w Domu Książki Polskiej w Warszawie). Wybitny romanista zajął się tu zwłaszcza sprawą jedną: owych „speców" od usuwania (w Rosji nosili oni nazwę „wyszybajłów"), owych „fachowych doradców", którzy „w imię nauki" wskazywali, jaką katedrę, a raczej którego profesora należało „skasować", przyczem wiernie naśladowali swego starszego kolegę, prof. Pelikana, co to „fachowo doradzał" senatorowi Nowosilcowowi, że ma ze względu na dobro nauki skasować — Lelewela...

Ze skasowanych profesorów dziś już pięciu spoczywa w grobie. Czyn Jędrzejewicza przeszedł zwycięsko po ich mogiłach, jak niegdyś czyn Ponińskiego przeszedł po trupie Rejtana.

Niedawno odprowadziliśmy na cmentarz jeszcze szóstego wybitnego przedstawiciela nauki, prof. Surzyckiego, którego zgon również przyspieszyła sławetna kasata katedr i zło zakorzenione w gronach profesorskich przez ową kasatę. (QUINCUNX).

ZE ŚWIATA SZTUKI

SALON RZEŹBY

W POPRZEDNIM zeszycie „Myśli” zastanawiałem się nad przyczynami małej, w porównaniu z malarstwem, popularności rzeźby i rozważania swoje mogłem zakończyć szczęśliwem stwierdzeniem, iż 7 lat chudych dla tej dziedziny plastyki minęło.

Malarstwo od dawna już straciło związek z architekturą, to co widzimy dziś na ścianach mieszkań prywatnych, to są właściwie minjaturowe imitacje galerii obrazów, a nie akcenty dekoracyjne podziału architektonicznego płaszczyzny ściennej. Co do rzeźby zaś, choć ona dziś także powstaje w oderwaniu, często bez z góry określonego przeznaczenia, jednak w zasadzie jeszcze zawsze pomyślana zostaje, jako dzieło zrośnięte z otoczeniem. Udziałem większości dzieł rzeźbiarskich jest prawo bytowania w przestrzeni niezamkniętej, na placu, w ogrodzie, na ulicy, na tle architektonicznem wreszcie.

Tak pojęta zatraca rzeźba charakter dzieła do prywatnego użytku, że się tak wyrażę; instytucje państwowe i społeczne mecenasują rzeźbiarstwu, dzieła przez nie zamówione, lub nabyte, radować mogą oczy każdego przechodnia. Ta możność oddziaływania swą sztuką na wszystkich, obdarowywanie nietylko wybrańców, lub tych, którzy sami ku sztuce przyszli, wzmódz winna poczucie ważności społecznej rzeźbiarza, jako roli uprzywilejowanej, w zestawieniu z losem współczesnego malarza. Samoistny byt państwa, na nowo powołanej do życia Rzplitej dał rzeźbiarstwu podstawy do tak pojętej pracy. Jej tempo i zasięg zależne są tylko od warunków ekonomicznych.

Z jakiemi możliwościami artystycznemi przystępują rzeźbiarze nasi do dzieła? Dawniej mogliśmy wymienić zaledwie kilka nazwisk, dziś już można mówić o całej szkole rzeźbiarskiej. Do powstania jej przyczyniła się Warszawska Akademia Sztuk Pięknych. Pracownia prof. Bregera wydała w swoim czasie cały zastęp tęgich rzeźbiarzy i oni to głównie stanowią trzon naszej współczesnej ekipy rzeźbiarskiej.

Sztuka tych byłych wychowanków Warszawskiej Akademii, dziś niejednokrotnie świetnych artystów, posiada bardzo wyraźne znamiona wspólne i dlatego właśnie możemy mówić o szkole. By te cechy dosadniej uwydatnić, musimy znowu wspomnieć o impresjonizmie. Impresjonizm nie rozumiał i nie szanował sylwety w rzeźbie, wartości szczególnie ważnej w pomniku. Impresjonizm lekceważył architektonikę rzeźbiarską. Dlatego też przede wszystkim rzeźbie pomnikowej, monumentalnej, źle się przysłużył, a radził sobie lepiej w bardziej kameralnym portrecie. Żeby zrozumieć, jak zupełnie inaczej rzeźbiarze szkoły warszawskiej traktują bryłę rzeźbiarską, wystarczy porównać ich prace, z umieszczonemi na tej samej wystawie wytworami impresjonizmu, dłuta Ostrowskiego. Pokazanie jednocześnie z wystawą Salonu, jego prac należy uważać za pomysł bardzo pedagogiczny.

Współczesną rzeźbę cechuje dobre wyczucie bryły, spokojne opracowanie powierzchni, unikanie przypadkowości, nerwowych rozwichrzeń, dążność do uogólniającej syntezy. Dążność tę należy uznać za naturalną reakcję przeciwko zgoła odmiennym metodom ubiegłej epoki impresjonizmu. Niezawsze trafne zrozumienie istoty syntetycznego ujmowania bryły, przyniosło jednakże w pewnych wypadkach, wyniki ujemne. Chęć syntezy zrodziła nieraz szemat i szablon. Niebezpieczeństwo, dostrzeżone rychło przez najwybitniejszych młodych rzeźbiarzy, zostało zażegnane zwrotem w stronę spokojnego i rzeczowego realizmu.

Umiar i wstrzemięźliwa rozwaga w opracowaniu bryły rzeźbiarskiej, stateczność rzeźbiarskiej architektoniki, wydają się nam cechami zgoła nie młodzieńczemi, tych młodych, lub w sile wieku znajdujących się artystów. Znamiona te, wraz z wyżej przytoczonemi, zrozumienie korzyści współpracy z architektem, w dziełach zakrojonych na miarę monumentalną, predystynują naszych współczesnych rzeźbiarzy do zadań pomnikowych. Pierwiastek dekoracyjny doskonałość relacji plastycznych, będą górowały w tych dziełach nad pierwiastkiem wyrazu. Gdyż przy dużej kulturze rzeźbiarskiej, przy znakomitem nieraz rozwiązaniu formalnem zadania, brak często tym dziełom pewnych zesadniczych znamion indywidualnych, któreby je wzajem od siebie odróżniały.

Jeśli chodzi o autorów poszczególnych rzeźb, to na wystawie rzeźbiarskiej, bez katalogu zawsze błądzimy trochę poomacku. Na dobrą sprawę nigdy nie wiadomo na pewno, czy mamy do czynienia z rzeźbą Belowa, Wojtowicza, czy Pietkiewicza?

Dzięki długoletniemu treningowi i obserwowaniu ich działalności od pierwszej wystawy szkolnej (są to moi koledzy z Akademii) odróżniam rzeźby Karnego i Strynkiewicza, dwóch najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego pokolenia rzeźbiarskiego, szkoły warszawskiej. To, co w ich dziełach dostrzegam odmiennego, jest wynikiem raczej różnych temperamentów artystycznych, a nie rezultatam świadomej, odmiennie kształcącej się wizji plastycznej. Wszystko to wyrasta z jednego pnia wspólnych założeń formalnych.

Ten brak głębszych różnic indywidualnych między poszczególnymi przedstawicielami młodej rzeźby musimy uznać za niedostatek, gdyż to, co ma być nietylko pomnikiem, ale i dziełem pomnikowem, musi łączyć w sobie potęgę wyrazu, z doskonałością relacji rzeźbiarskiej. Inaczej będzie tylko dekoracją, jak dekoracją rzeźbiarską na tle architektury jest np. pomnik Księcia Józefa na placu Piłsudskiego. Roli tego rodzaju utworów, oraz ich działania estetycznego bynajmniej nie lekceważymy, zwracamy tylko uwagę na niebezpieczeństwo tak jednostronnie kształtującej się twórczości. Każde zjawisko można pójmować rozmaicie. Dla jednych rok 1830 to dramat narodowy, dla drugich — to styl Biedermayer.

Na Salonie rzeźby przeważa portret i studium portretowe, w sposób tak zdecydowany nad innymi tematami, iż paczy trochę prawdę rzeczywistych proporcji. Oprócz nazwisk już wymienionych, zapamiętajmy inne: Konarzewskiego (zwierzęta), Proszewskiego, Horno-Popławskiego, Piechockiej, Walewajskiego, Tchorka, Wnuka. To są kadry młodej wsółczesnej rzeźby.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„WOLNA KOBIETA"

SŁUCHAJĄC w teatrze Nowym komedii francuskiej Armanda Salacrou „Wolna kobieta", recenzent ma sposobność stwierdzenia, że jednak dramat nieprzebrane posiada środki odświeżania starych prawd. A powtóre, że zaimponować pomysłem może tylko ten dramaturg, który starą rzecz sam po swojemu na nowo przemyśli. Sztuka p. Salacrou ma w sobie pewną świeżość. Nie czuć, żeby robiona była „na kopyto" generalne, jak bywa w fabryce, fason swój bowiem zawdzięcza w dużej mierze nie tyle tematowi, ile osobistemu odczuciu dramatyczności życia, co dało sztuce sporo poetyckiego pogłębienia.

W sprawozdaniach teatralnych spotykamy się zwykle z troską, czy dany utwór pisany jest na „tezę", czy też jest bez tezy, a mówi się o tem tak, jakby chodziło o to, czy utwór jest tendencyjny, czy też „tak sobie". Widzę w tem (pospolite w polskiej literaturze) uprzedzenie do myślenia, jako rzeczy, bez której rzekomo dramaturg obyć się może. Tak nie jest. Dramaturg ma zawsze do rozsupłania jakiś węzeł i tylko słabomyślny pierwotniak wobec węzłów dramatycznego życia czuje się macedończykiem, rozcinającym wszelkie zagadnienia byle dowcipem, nie umiejąc nawet ich sformułować.

Porównajmy komedię p. Salacrou z utworami scenicznymi p. Jasnorzewskiej. Tematyka podobna, chociaż napewno autor francuski nie znał autorki polskiej. Mogło być odwrotnie. Tak samo dwie harpie, strzegące starego ustroju rodziny i młodzi, zaczynający budować świat na nowo.

Z jednej strony tradycjonalizm, z drugiej wolna pomysłowość dowolnego życia, z jednej — społeczeństwo ze swymi żelaznymi prawami, poddającymi jednostkę interesowi całości społecznej, z drugiej strony — prawo jednostki do wolności. Konserwatyzm—liberalizm.

W komedii, operującej romansem, najłatwiej to pokazać na doli kobiety, gdy ona chce ten konflikt odwieczny osobiście pokonać. Najłatwiej i najtrudniej, bo jakże znana to historia!

Salacrou nie ucieka się do uproszczeń takich, jakie się nasuwają naszej autorce: nie wciąga w grę kolizji między sferami społecznymi. U niego w tej samej rodzinie dwaj bracia cierpią na to samo, choć w konflikcie biorą udział na dwu różnych frontach zagadnienia.

Konflikt rodzi się głębiej, nie między klasami, bo w naturze budowy ludzkiego świata, opartego na rodzinie. Bajką jest, jakoby istniały klasy postępowe w tym względzie i klasy zachowawcze. Załatwianie się z tezą wolnej miłości przy pomocy klucza społecznikowskiego należy do naiwności pisarzy, nie umiejących wogóle m y ś l e ć poważnie o życiu. Komedia p. Salacrou robi dobre wrażenie właśnie z tego powodu, że ma podkład filozoficzny, że jego teza należy do tych wiecznych, które są pełne zamyślenia o sprzecznościach bytu, dających się uregulować w świecie ludzkim tylko przez powściąg osobisty, bodaj przez ofiarę, składaną, przez jednostkę z uroszczeń swoich na rzecz trwania całości.

Właściwie autor nie wypowiada się jako propagator raczej pokazuje, jak jest. Eksperymentowanie w obrazie, rzeczonego konfliktu przeciwstawnemi typami współżycia ma dość ułatwione, w Paryżu bowiem instytucja kochanek należy do pospolitych zjawisk obyczajowych. Nie mniej potrafił wydobyć z tego konfliktu napozór komediowo-obyczajowego akcenty silnego napięcia obyczajowego.

Poświęcił w tym celu to i owo z realizmu, tak przestrzeganego dzisiaj w komediach, choćby to, że na połowę pierwszego aktu oddał scenę do użytku romansowego wolnej kobiecie, która tylko co przybyła do tego domu na swoje zaręczyny, nikt zaś o to sam na sam w domu się nie zatroszczył. Może to było zbyt słabo umotywowane, ale za to węzeł dramatyczny zyskał na komplikacji.

Wartość sceniczną sztuki na scenie warszawskiej znakomicie podniósł udział w zespole artystów p. Stanisławy Wysockiej, która i rozmyślnie i mimowoli (osobistymi właściwościami swej postawy i głosu) nadała komediowej ciotce charakter symbolu, jakoby to był mistyczny Duch Rodziny, broniącej ją od rozkładu, a nawet okrutny, symbol społeczeństwa, pochłaniającego jednostkę i strzegącego swej struktury.

Cały zespół artystów złożył się na to, żeby przedstawienie wypadło ku zupełnemu zadowoleniu publiczności. Bardzo dobre wrażenie robiła para kochanków pp.: Lubieńska i Wesołowski. W ich grze było dużo prawdy: takie kobiety istotnie dają się lubić, ale kochanek przestaje być wesoły, kiedy naprawdę polubi. Bez zarzutu dopełniali całości pp.: Jarszewski, Łuszczewski, Frenkiel. Z. W.

MUZYKA

ZAMKNIĘCIE SEZONU

OSTATNI koncert obecnego sezonu zamknięto wcale efektownie, dano bowiem z polskiej muzyki „Małą uwerturę" Andrzeja Panufnika, dwa fragmenty suity koncertowej Woytowicza oraz „Fantazję Polską" Ignacego Paderewskiego. Pozatem w programie znalazła się 1-sza symfonia Szostakowicza, czołowego kompozytora sowieckiego (ciekawe, że zarówno czołowym kompozytorem bolszewickiej muzyki rosyjskiej, jak i emigracyjnej, są z pochodzenia Polacy), oraz Pawła Hindemitha symfonia „*Mathis der Maler*", stanowiąca ciekawy wyraz zmian zaszłych w twórczości tego artysty.

Nawrót do tradycyjnej linii, owo „poczucie wielkiej tradycji artystycznej Niemiec" czy jest przejawem kompromisu z kierunkiem obecnie panującym na terenie Rzeszy, czy też naturalnym wynikiem jego istnienia, czy też poprostu zupełnie niezależnym od wszelkich wpływów zewnętrznych zwrotem? — trudno nam doprawdy osądzić. Koncert miał prowadzić Ernest Ansermet, w rezultacie trud prowadzenia spadł na Mieczysława Mierzejewskiego, któremu w ubiegłym sezonie dano—i dobrze—możność trzykrotnego dyrygowania w sali Filharmonii.

Przy fortepianie („Fantazja Polska") autor dwóch wykonanych fragmentów suity koncertowej — Bolesław Woytowicz, który raz tylko w tym roku ukazał się publiczności jako pianista. Dlaczego? Już to nie można powiedzieć, ażeby pianiści polscy byli specjalnie faworyzowani. Oprócz bowiem wyżej wymienionego, na estradzie ukazali się tylko Zbigniew Drzewiecki, Margerita Kazurowa oraz Józef Turczyński. Jeszcze gorzej było ze skrzypcami, które reprezentowała jedynie Jadwiga Umińska, śpiew Bandrowska-Turska i Aniela Szlemińska, tu o jedną znowuż za dużo, interpretacja bowiem Szlemińskiej pieśni Szymanowskiego nie dała nam zupełnie żadnego zadowolenia.

Jeśli idzie o śpiew, należy wspomnieć, że czterokrotnie wystąpiły zespoły chóralne: „Harfy", chóru przy kościele Zbawiciela (dwa razy), oraz Polskiej Kapeli Ludowej.

Dość często natomiast widzieliśmy dyrygentów polskich. I tak w ubiegłym sezonie prowadzili orkiestry: trzykrotnie Mierzejewski, dwukrotnie Latoszowski, dwukrotnie Wiłkomirski, oraz Tadeusz Mazurkiewicz. Jest to postęp w stosunku do lat ubiegłych i duży.

Przejdźmy do naszej twórczości, według zestawienia Filharmonii. A więc Chopina wykonano obydwa koncerty i *e-moll* i *f-moll*, obficie karmiono go nim zresztą podczas konkursu, Szymanowskiego wraz z koncertem poświęconym jego twórczości, dano usłyszeć zaledwie trzy razy. 2-go października IV symfonia, 6-go maja symfonia III i II koncert skrzypcowy—o wiele za mało. Karłowicza, w przeciwieństwie do lat ubiegłych grano raz jeden, poemat „Stanisław i Anna Oświęcimowie".

Pozatem wykonano Paderewskiego „Fantazję Polską”, Różyckiego Scherzo symfoniczne „Stańczyk“ i poemat muzyczny „Anhelli“, Maliszewskiego „Legendę o Borucie” oraz „Bajkę”, Młynarskiego symfonię *f-dur*, Morawskiego suitę z baletu „Miłość”, Nowowiejskiego uwerturę do oratorium „Syn marnotrawny“, Noskowskiego wariacje „Z życia narodu“, Rytla poemat symfoniczny „Święty Gaj” oraz „Legendę o świętym Jerzym”, wreszcie Kazury fragmenty z dramatu „Powrót”.

Szczególną radością przejęła wszystkich seria młodych talentów, dość duży odsetek pierwszych wykonań naogół udanych. A więc (używając porządku alfabetycznego)—Jan Ekier dał suitę góralską na orkiestrę smyczkową, Kasserh przypomniał się dużej klasy koncertem na sopran solo z orkiestrą oraz poematem symfonicznym „*Dies irae*“, żywy, pełen temperamentu Kondracki pokazał „Koncert na orkiestrę“ i II-gi koncert fortepianowy, Maklakiewicz niepokojąco słaby poemat symfoniczny „Ostatnie werble”, Palester „Małą uwerturę“ i „Taniec z Osmołody“, Panufnik „Uwerturę“, Woytowicz legitymujący się coraz to lepszej jakości dokonaniami „Suitę orkiestrową“. W sumie zjawisko wielce pocieszające.

Stosunek też, przyznać trzeba, Filharmonii do twórczości naszej, do młodych jaknajlepszy, poza paroma uszczerbkami, jak np. potraktowanie koncertu pośmiertnego Karola Szymanowskiego, o czem pisaliśmy już obszernie; mamy zresztą nadzieję, iż przyszły sezon w pełni się pod tym względem zrehabilituje. Nie można natomiast powiedzieć, ażeby publiczność popierała twórczość polską, miała do niej stosunek choćby tylko życzliwy. Istnieje jakaś nieuzasadniona niczym nieufność do tego co własne w myśl chyba przysłowia, że „nikt nie jest prorokiem między swoimi”. Te jakieś przedziwne opory należy złamać. Koniecznie. Jak je jednak tłumaczyć? Publiczność koncertów filharmonicznych dzieli się na dwie części: polską i żydowską. Tę drugą, oczywiście mało obchodzi nasza twórczość narodowa, jest do niej nawet ustosunkowana zdecydewanie wrogo, entuzjazm wyładowując na koncertach, gdzie popisują się wirtuozi żydzi. Publiczność znowu polska karmiona jest w przeważającej części krytyką o charakterze konserwatywnym, niechętnie usposobioną do wszelkiej nowej twórczości, mało — dopatrującą się w niej maniacko jakiegoś ducha żydowskiego, młodzi zaś poprostu piszą zgodnie z duchem czasu. Inaczej nie mogą—takie naturalne! Stąd rozdźwięk. Pozatem—jakże mało zaciekawienia, pieczołowitości w stosunku do tych młodych właśnie! Oto warunki klimatu, w którym ma się rozwijać sztuka... zjawisko nadzwyczaj smutne. I pamiętajmy, że nie wystarczy współczucie, zgoda z moimi słowami powszechna, ale i... na chwilę. Trzeba reakcji czynnej, konsekwentnej.

W. NARUSZ

ZMARLI

Ś. P. OTTON HEDEMANN

ZMARŁY przed paru tygodniami w Wilnie ś. p. Otton Hedemann, człowiek nieznany na szerszym świecie, zupełnie ubogi i nader wątłych sił fizycznych, należał do tych magnatów ducha, których stać na ofiarowanie się całkowite zadaniom ideowym społeczeństwa bez żadnych zastrzeżeń co do osobistych praw życia.

Gdy przybył do Polski po wojnie, aby osiąść gdzieś w zapadłej mieścinie pow. Brasławskiego, nie umiał jeszcze dobrze mówić po polsku. Nie znamy bliżej jego życiorysu. Wiadomo tylko, że był synem Duńczyka i Polki, że kształcił się w szkole rosyjskiej. Koło roku 1929 doszły do Warszawy wiadomości, że oto na zapadłych kresach północnych Polski istnieje historyk, który na podstawie archiwów parafialnych, miejskich i prywatnych w okolicy odtwarza przeszłość tego mało zbadanego regionu. „Myśl Narodowa“ pozyskała na próbę urywek jego pracy o pow. Brasławskim i ogłosiła go w r. 1930. Pokazało się, niepospolitej miary pracowntk na polu historii i do tego miłośnik tradycyj polskich i gorący polski patriota.

Dorobek tego historyka przedstawia się imponująco, jeśli się zważy ciężkie warunki pracy i krótkość czasu. Bibliografia wymienić może następujące jego prace:

„Historia powiatu Brasławskiego“, str. 483, Wilno 1930. „Dzisna i Druja, magdeburskie miasta“, str. 486, Wilno 1934. „Głębokie“, str. 59, Wilno 1935. „Testamenty“, str. 34, Wilno 1935. „Graf Manuzzi“, str. 62, Wilno 1935. „Dawne puszcze i wody“ 1934. „Szkoły Walerianowskie XX. Pijarów Łużeckich“, str. 177, Wilno 1937. (Skład główny księg. św. Wojciecha, Wilno, Dominikańska 4).

Na warsztacie miał studium historyczne o Puszczy Białowieskiej. Już jej dokończyć nie zdołał. Na karcie tytułowej „Historii pow. Brasławskiego“ Hedemann umieścił dedykację tej treści:

„Młodzieży Wszechnicy Batorowej — naszej nadziei i przyszłości — na intencję jej prac nad przeszłością ziemi, z której wyszli nasi najwięksi—trud swój poświęcam“.

Ktoś, co bliżej poznał autora i jego prace, w nekrologu w „W. Dz. Nar.“ pisze o Hedemanie:

„Mowę polską z jej historycznymi właściwościami opanowai do tego stopnia, że może nieraz służyć za wzór wobec dzisiejszych dziwolągów i zaniedbań językowych. Odczuł rolę, którą polskość odegrała nad Dźwiną w ubiegłych wiekach, zrozumiał wielki urok kultury narodowej, pojął, dla czego imię Polski promieniało wielkością i pociągało ku sobie różnorodne pierwiastki etniczne. Miły styl umiał zdobić subtelnym dowcipem, wplatając niekiedy ironiczne porównania dzisiejszych czasów z pełnemi powagi i godności poczynaniami naszych ojców, którzy rozszerzali granice Rzeczypospolitej i gruntowali ku niej miłość w sercach obywateli“.

Oto piękny wzór dla inteligencji, mieszkającej na prowincji, nie umiejącej znaleźć dla siebie miejsca w dziejach cywilizacji narodu.

N.

NOWE KSIĄŻKI

Orzeszkowa Eliza. Pisma t. I Pierwsze utwory, t. II—W klatce. Warsz. Geb. i Wolff.

Biegas B. Saturn. Warsz. 1937. Dom. Ks. Pol.

Doriot Jaques. Francja nie będzie krajem niewolników. Warsz. 1937. F. Hoesick. Str. 175.

Przyłbicki Andrzej. Ponad mrokami Zagłębia. Tom II. Synarchia ludów. Warsz. 1937. Dom Książki Polsk. Str. 84.

Górka Olgierd. Naród a państwo jako zagadnienie Polski. Warsz. 1937. Nakł. własnym. Str. 373.

Przybyszewski Stan. Listy. Tom I. 1879—1906. Z 46 ilustr. i 8 facs. Warsz. 1937. Sp. Wyd. „Parnas“. Gdańsk Tow. prz. nauki i sztuki. Str. XL i 376.

Kawyn Stefan. Ideologia stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza 1890—1898. Lwów 1937. „Filomata“. Str. 243.

Ossendowski Antoni. Szanghaj. Powieść współczesna. Poznań. Wyd. Polskie R. Wegnera. 2 tomy.

Kilarski Jan. Gdańsk. Cuda Polski. Poznań. Wyd. Polskie R. Wegnera. S. 259. Ilustr.

Przegląd Współczesny za czerwiec. Warsz.

Orzeszkowa Eliza. Marta. Pisma t. III. Warsz. Geb. i Wolff.

POKŁOSIE

LABORATORIUM DOŚWIADCZALNE

KAŻDY jako tako doświadczony dziennikarz wie o tym, że może śmiało przepowiadać co się stanie za lat dziesięć, czy dwadzieścia, natomiast nigdy nie powinien prorokować na temat tego co się ma stać jutro, lub pojutrze. Za dziesięć lat nikt przecież nie będzie pamiętał o tym, co przepowiadał, więc gdy się przepowiednia nie sprawdzi, to nic mu to nie zaszkodzi w opinii, natomiast przepowiednia co do dnia jutrzejszego, równie trudna, jak każda inna, przyprawi go o blamaż w razie niesprawdzenia się. Nie ryzykujmy tedy lepiej przepowiadania skutków, jakie pociągną za sobą ostatnie wypadki na terenie walk hiszpańskich, zaatakowanie pancernika niemieckiego i odwet na mieście portowym Almeria. Możemy natomiast przypatrzyć się tym wydażeniom z nieco innego punktu widzenia.

Ustaliło się już twierdzenie, że walki w Hiszpanii stały się dla pomagującym obu stronom przyjaciół pożądaną sposobnościa do wypróbowania nowych środków walki w warunkach prawdziwego boju. Technika po wielkiej wojnie wytworzyła całą masę nowych rodzajów broni, o których skuteczności nikt jednak naprawdę nic stanowczego nie wie, gdyż nie przeszły one jeszcze próby ogniowej, a wszelkie wnioski, wysnuwane z wojny pozornej, manewrów są oczywiście zawodne. Hiszpańskie pola bitew stały się tedy dla niektórych mocarstw prawdziwym laboratorium doświadczalnym. Rezultaty tych doświadczeń strony zainteresowane zatrzymują naturalnie dla siebie, ale jednak jest na miejscu zbyt wielu obserwatorów, często fachowców, żeby coś z tego nie przesiąknęło do wiadomości publicznej.

Podobno więc czołgi sprawiły naogół zawód, nie usprawiedliwiają pokładanych w nich nadziei, natomiast zdać miała bardzo dobrze egzamin czynna obrona przeciwlotnicza, wykazując bardzo skuteczne działanie artylerii zenitowej. Jest to, rzecz prosta, stwierdzenie niezmiernej wagi wobec roli, jaką w przyszłej wojnie ma odegrać lotnictwo bojowe rozmaitych typów.

Ale wszystkie z prowadzących te doświadczenia stron mają niewątpliwie interes w rozwiązaniu tej zagadki, która tak poważnie zaciążyła na ostatnim konflikcie włosko-angielskim, mianowicie, czy nowoczesny pancernik może się oprzeć skutecznie atakom samolotów bombowych, czy też im ulegnie?

I jak się zdaje, chęć zdobycia odpowiedzi na to pytanie przezwyciężyła nawet obawy wywołania bardzo poważnego konfliktu.

Niemiecki „kieszonkowy" pancernik „*Deutschland*" nadawał się właśnie doskonale do przeprowadzenia próby. Jest to statek nowy, budowany już z myślą o atakach lotniczych i niewątpliwie zaopatrzony w urządzenia ochronne, odpowiednie pancerze pokładowe itd. Reakcja jego konstrukcji na działanie bomb jest więc miarodajna. Ataku dokonano sposobem, o którym się mówi, że jest nie do odparcia, nie daje bowiem artylerii przeciwlotniczej ani czasu, ani możności działania. Baterie zenitowe, zarówno lądowe, jak i okrętowe są dziś zaopatrzone w niesłychanie udoskonalone aparaty kierujące ich ogniem. Aparaty te, ochrzczone nazwą „*predictor*" składają się z bardzo czułych mikrofonów podsłuchowych, określających kierunek i odległość zbliżających się samolotów, oraz z bardzo skomplikowanej maszyny do liczenia, która natychmiast te dane, jakie zdobędzie podsłuch, przerachowuje na cyfry, oznaczające nastawienie celowników armat. Przy wielkiej szybkości samolotów artylerzysta ma bardzo mało czasu na obliczenie elementów celowania. Człowiek nie zdążyłby nawet przy użyciu tablic. Ów „*predictor*" daje dokładną odpowiedź natychmiast, przyczem uwzlędnia już wszelkie korekty czasu, potrzebne do tego, żeby pocisk i samolot spotkały się w przestrzeni. Ten rachujący aparat systemu angielskiego obsługiwany jest przez ośmiu ludzi, niemiecki nawet aż przez dziesięciu; rezultaty są podobno takie, iż szanse ataku lotniczego bardzo zmalały.

Wyimaginowano tedy sposób ataku, któryby nie pozwolił na zastosowanie tych wszystkich subtelnych środków obrony. Lotnik z wielkiej wysokości spada stromym lotem ślizgowym na upatrzony obiekt, np. na pancernik, i przelatując na niewielkiej wysokości nad nim, rzuca bomby. Szybkość spadania wyklucza użycie artylerii na obronę: nie ma poprostu czasu i cel zbyt szybko zmienia pozycję. Tak właśnie zaatakowano „*Deutschland*".

Rezultat wydaje się pomyślny dla atakujących, bo najważniejsze jest iż jednak z takiego, spadającego jak kamień, samolotu dwie bomby trafiły w cel. Jakie sprawiły uszkodzenia, tego nie wiemy, lecz muszą być nie małe skoro liczba zabitych i rannych jest tak znaczna. Zresztą to jest już kwestia wielkości bomb, poza tym nikt oczywiście nie przypuszczał, że jednym atakiem można unieszkodliwić nowoczesny pancernik. Chodzi o skuteczność taktyki, a w razie potrzeby użyje się niejednej nawet eskadry samolotów i wtedy jeszcze gra będzie warta świeczki.

Wszystko wskazuje na to, że chciano zdobyć i w pewnym zakresie zdobyto doświadczenie i wskazówkę, która zaważy na dalszym rozwoju polityki międzynarodowej, jak dotychczasowa niepewność zaważyła na tym, iż podczas sprawy abisyńskiej na morzu Śródziemnym nie doszło do walki między flotą angielską, a lotnictwem włoskim. A sowiety na Bałtyku są w podobnym położeniu, jak Włochy na południu. ARGUS

NA MARGINESIE

Do Sejmu ma być wniesiony projekt ustawy o konwersji długu zaciągniętego przez Polskę u bohaterów „niepodległości" i „sanacji" w postaci zasług, jakie położyli dla ojczyzny. Dotychczas płaciło się za rzeczone zasługi wysoko płatnymi posadami, obliczono jednak, że praktyczniej będzie wszystkim niezaspokojonym dotąd bohaterom wypłacać ryczałtową sumę za zrzeczenie się pretensyj do Skarbu. Będzie się to lepiej państwu kalkulowało, niż wynagradzanie posadami, ile że takowe można będzie ewentualnie obsadzać ludźmi fachowymi, co, jak się pokazało za granicą, bywa dla państwa bardzo korzystne.

*

O głośnym wychowawcy młodzieży powiadają, że może byłby dobry na swoim stanowisku, tylko że na młodzież stale jest obrażony i nie może mieć przez to żadnego z nią kontaktu.

— A pensję pobiera?

— Ba, nawet dobrą.

*

Na egzaminie.

— Jak niewolnicy witali Cezara?

— *Ave, Caesar, emerituri te salutant.*

— Siadaj, to p. Starzyńskiego tak witają urzędnicy magistraccy.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.